Cena 10 zł
(wraz z cegiełką na Dom Słowa Polskiego).

ODRA

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Rok II | Katowice, Wrocław, Szczecin, dnia 17 listopada 1946 | Nr 40 (51)

Biblioteka Uniwersytecka w Gdańsku
02015

Wojciech Żukrowski

Za busolą rozsądku

Łódzki Zjazd Walny Delegatów Zawodowego Związku Literatów Polskich daje po części i przekrój nastrojów społeczeństwa, dlatego warto przetrząsnąć jego plon, zapoznać się z postulatami. Zebraliśmy się w Łodzi, w mieście o żywej tradycji walk o wolność narodu i prawa proletariatu, w mieście lewicy, gdzie wychodzi „Kuźnica", najżywotniejszy tygodnik nielicznych marksistów polskich. Powiedziałbym, stosując dialektykę, że lokalizacja Zjazdu i atmosfera otoczenia uwarunkowały nasze decyzje i przebieg obrad.

Obrady toczyły się pod przewodnictwem Kazimierza Czachowskiego w obecności wicemin. Leona Kruczkowskiego, przedstawicieli Rady Miejskiej, goszczącej nas serdecznie w Łodzi, delegatów bratnich Związków Zawodowych i prasy.

Już wstępne przemówienie wiceministra Kruczkowskiego, przypominające brak jednomyślności w przedwojennym ZZLP. w chwili protestu przeciw uwięzieniu przez hitlerowców Karola Ossietzky'ego, laureata Nobla, wskazywało pomyłki tej grupy pisarzy, która do dzisiejszego dnia skazuje się na dobrowolne wygnanie. Czujność na sprawy społeczne, przenikliwe spojrzenie i znajomość procesów gospodarczych pozwoliła lewicy uniknąć pomyłek, gdy ciasność doktrynerska zrywała solidaryzm klasowy i humanistyczny.

W duchu pojednania przemawiał Jan Nepomucen Miller, wskazując na gwałtowność, nieledwie rewolucyjność przemiany dokonywującej się u nas. Wzywał on do ratowania tego wszystkiego z przeszłości szlacheckiej, co jest wartością tradycji narodowej, gwarantującą niezbędną ciągłość kultury.

Trzeci z referatów, które tworzą pewną całość programowo-ideologiczną, w ujęciu Stefana Żółkiewskiego naświetlał szereg faktów historycznych ostatniego ćwierćwiecza jako konsekwencji ustroju liberalistyczno - kapitalistycznego. Z tej formy prawnego wyzysku wynikły i katastrofy wojenne i rozkładowe mieszczańskie prądy literackie. Prawda jednostki niesprawdzalna obiektywnie, zmusza twórcę do sięgnięcia po prawdę przewrotów ekonomicznych, prawdę wynikającą z doświadczeń wojennych i rewolucyjnych ruchów społecznych. Żółkiewski, stwierdzając nikły udział literatury w walce o wolność i równość człowieka, o socjalistyczny ład, domaga się upolitycznienia literatury, stwierdzając lojalnie, że radykalizm katolicki może kroczyć obok marksizmu, gdyż w ziemskich konsekwencjach są możliwości zbliżenia.

Dyskusji nad referatami, będącymi raczej nadbudową Zjazdu, nie było — prócz starcia polemicznego między Marią Dąbrowską a Stefanem Żółkiewskim, starcia, ciążącego ku politycznym przytykom, które zebrani powitali niechętnie, gdyż odciążyły one od spraw najważniejszych, kwestii zawodowych. Replika Marii Dąbrowskiej skierowana była raczej przeciwko dyktatorskiemu tonowi redaktora Żółkiewskiego niż przeciw jego tezom politycznym.

I w tym kryje się może istota przemiany. Dawniej spory ideologiczne rozogniłyby i skłóciły anarchiczne środowisko, jakim są literaci, dziś realizm myślenia każe usunąć na bok spory, szukać w solidarności zawodowej i wzajemnych ustępstwach rozwiązań, prowadzących do wzmocnienia autorytetu Związku i jego wpływów na wszystkie dziedziny planowania kulturalnego, dokonywane przez wielkiego mecenasa, jakim chce być państwo o ustroju socjalistycznym.

Dlatego najżywszym zainteresowaniem cieszył się referat przedstawiciela CKZZ, ob. Sokorskiego. Mówił on o wspólnocie między robotnikiem i inteligentem, o gwałtowności dokonanej przemiany i płynących stąd obowiązkach warstwy kierującej. Twórczość nie może żyć w obrębie przymusu i sprawa zbliżenia intelektualistów i socjalistów jest długodystansowa. Nie z zamówienia, ale z głębokiego wewnętrznego przekonania musi płynąć twórczość, obrazująca dokonującą się u nas rewolucję, bo inaczej stanie się rzemieślniczą propagandą.

To dobrowolne włączenie się w ruchy pracownicze ma już zewnętrzną, zdecydowaną formę włączenia się literatów do rodziny Związków Zawodowych.

Człowiek pracy, przeciętny czytelnik, szuka w literaturze odpowiedzi na dręczące go życiowe pytania, ale odpowiedź na nie może mu dać tylko twórca, który sam te zagadnienia w sobie rozwiązał i shierarchizował. Na literatach a przede wszystkim na ZZLP ciąży olbrzymia odpowiedzialność i nie wolno się uchylać pisarzom od współpracy z Ministerstwem Kultury i Sztuki, z komisjami wielkiego planu wydawniczego, ale muszą również bronić swojej niezależności, strzec się przed urzędniczym naciskiem, mając zawsze przed sobą cel ostateczny — Samorząd Kultury, niezbędny przy odbudowie kultury zgodnej z wolą narodu.

Skoro literat jest niezbędny do realizacji Planu Trzyletniego i czynniki rządowe przewidują duży wkład pracy przez ZZLP, musi nastąpić zasadnicza zmiana w traktowaniu pisarzy, poprawa ich położenia materialnego.

W kapitalnym skrócie Jan Brzechwa, prezes Oddziału i troskliwy gospodarz Zjazdu, przedstawił nietrwałość koniunktury wydawniczej, zapewniającej nielicznej garstce piszących mierne zarobki. Obalił on legendę o krociowych dochodach, wykazał niebezpieczną tendencję komercjalizacji wielkich spółdzielni wydawniczych, wyraźnie zmierzających do umniejszenia głodowego procentu. Zahamowanie rozwoju prywatnej inicjatywy wydawniczej ułatwia tego rodzaju machinacje, prowadzące do eliminacji z rynku wydawniczego niewygodnych sobie publikacji lub nierentownych — stąd brak nowych tomików poetyckich i kosztownych prac naukowych.

Literaci, nie mając możności wydawania swych prac w ciągu całej wojny, popadli niejednokrotnie w niewolę pokątnych wydawców, dlatego umowy wojenne muszą ulec rewizji. Proletaryzacja, wynikająca z bohaterskiej postawy pisarza, nie idącego na żaden kompromis z okupantem, zmusza do twardego żądania dotrzymania uchwał PKWN, dziś już zapomnianych, o opiece nad twórcą.

Literat, sprzedając dzieło, wyzbywa się własności, stąd nie może honorarium autorskie podlegać opodatkowaniu, zwłaszcza że powodzenie w zawodzie pisarskim i zdolność twórcza trwają niezmiernie krótko.

Opieka zapowiedziana przez rząd nie wyraziła się żadnym konkretnym osiągnięciem, dotacje Ministerstwa Kultury i Sztuki nie zapewniły nawet możliwości swobodnego urzędowania zarządowi ZZLP. Groszowy zasiłek (3000 zł), jaki otrzymują najbardziej zasłużeni z pisarzy, nie jest łaską ale obowiązkiem państwa wobec tych, co swe zdrowie i mienie stracili na służbie sprawy narodowej. Wszędzie kultura przez prowincjonalnych kacyków jest traktowana jak zbędny luksus, na który zawsze będzie czas. (Ten stosunek szczególnie uderza w środowisku katowickim.) Jeżeli udało się literatom uzyskać domy wypoczynkowe, pomoc i opiekę, jak np. w Łodzi u prezydenta Mijala, to tylko dzięki kontaktom osobistym i głębokiemu zrozumieniu nielicznych protektorów.

Upadek autorytetu Związku, załatwienie Planu Kulturalnego, spraw teatru, Wydawnictw Wyłączonych, bez udziału literatów, jest niezmiernie charakterystyczne. Literatom w grubiański sposób odmówiono zniżek kolejowych, mimo że żąda się od nich kontrolowania każdego przejawu odbudowy i poznania postępu prac na ziemiach przyłączonych.

Trzystu literatów, zrzeszonych w Związku Zawodowym, nie może i nie będzie stanowić pola dla eksperymentów podatkowych!

Dlatego też każdy wybryk publicystyczny członków, każde wystąpienie łamiące elementarną solidarność zawodową, brutalna rywalizacja, to wszystko co na zewnątrz podrywa autorytet Związku, gdyż nie wolno zapominać, że społeczeństwo patrzy uważnie i nieprzychylnie komentuje każdy niezręczny krok pisarzy, — będzie surowo karane i tępione. Piękna karta, jaką ma pisarstwo polskie w latach walki, nie może dziś ulec zaprzepaszczeniu.

Mimo że wyraźnie zarysowała się linia podziału w chwili zgłoszenia list wyborczych do Zarządu, linia o charakterze politycznym, przygniatająca większość delegatów zajęła stanowisko przeciwne, oddając głosy na tych kolegów, którzy gwarantują najpewniejszą obronę naszych postulatów gospodarczych. **Zapewnienie niezależności materialnej pisarza, to zapewnienie swobodnej, zgodnej z sumieniem twórczości.**

Zarząd wybrany w składzie: prezes Kazimierz Czachowski, oraz członkowie Zarządu: Jerzy Zagórski, Stefan Żółkiewski, Juliusz Żuławski, Wilhelm Szewczyk, Wojciech Natanson, Aleksander Wat — uniemożliwi powstanie konfliktów, powstrzyma od niepotrzebnego trwonienia energii na walkę z wiatrakami, zacieśni współpracę z Ministerstwem Kultury, by żaden z projektów nas dotyczących nie mógł być rozstrzygany w sposób mechaniczny, mimo nas lub przeciw nam.

Wybór dokonany w Łodzi wskazuje na zwycięstwo rozsądku nad animozjami politycznymi, i podporządkowanie rozgrywek personalnych istotnym interesom zawodowym.

Perspektywa Odry

Na okres minionej wojny przypadła dziesiąta rocznica istnienia Instytutu Śląskiego. Mówimy wyraźnie: istnienia, bo Instytut Śląski żył i pracował bez przerwy także i w latach okupacji. Nie było wtedy możliwości uczczenia tego bądź co bądź cennego jubileuszu instytucji naukowej, zasłużonej tak bardzo na polu obrony naszych praw do Śląska, które bez ustanku, z wielkim nakładem pracy, sił i pieniędzy usiłowała podważać nauka i publicystyka niemiecka. W tych dniach Instytut Śląski wydał wspaniałą książkę, „Dzieje piśmiennictwa śląskiego" tom pierwszy, pióra Wincentego Ogrodzińskiego, zmarłego niedawno uczonego i badacza literatury. Z tej okazji, już nie tyle jubileuszowej, ale niemniej uroczystej, warto powiedzieć słów parę o tej katowicko - wrocławskiej placówce naukowej.

Powstanie Instytutu Śląskiego w roku 1933 było ciosem celnie wymierzonym w naukę niemiecką, która z Wrocławia i Opola głosiła swe tendencyjne zmyślenia i urojenia śląskie. Instytut rozpoczął swą działalność od ogłoszenia prac, podkreślających historyczną jedność Śląska z Polską oraz od określenia stanu i potrzeb nauki polskiej na Śląsku, dzieła po dziś dzień jeszcze w wielu momentach pionierskiego. Potem zaś, niezależnie od aktualnego klimatu politycznego w stosunkach polsko - niemieckich, realizował Instytut program ukazywania s z e r o k i e j naukowej prawdy o Śląsku, odkłamując tę naukową rzeczywistość, którą na Śląsku stworzyli Niemcy. Kierownictwo Instytutu zdołało też w tym okresie skupić wokół siebie wszystkich tych uczonych polskich i badaczy przeszłości, którzy prace swe poświęcali zaniedbywanej dotąd tematyce śląskiej.

Przez wydawnictwa Instytutu Śląskiego naród uczył się Śląska, one torowały mu drogę na dzisiejsze jego granice, w nich odnajdywał zerwaną od dawna już nić uczuciowej łączności z Śląskiem, jego ludem i krajobrazem.

Po wojnie najpilniejszym zadaniem Instytutu było zorganizowanie ruchliwego oddziału we Wrocławiu. W ten sposób dziś Instytut Śląski opiera się realnie o cały Śląsk i zarówno we Wrocławiu jak i w Katowicach żywo bije jego tętno naukowe. Pracę Instytutu Śląskiego, jak również pokrewnych mu placówek innych uważamy za ważny czyn, utrwalający nas na przywróconych Ojczyźnie ziemiach przodków naszych.

Rudziska, jezioro. Patrz artykuł wewnątrz numeru: „Laboratoria polskości" (Fot. St. Sulima).

DM/54/52

Anna Kowalska

NAD ODRĄ

Najprędzej we Wrocławiu polubiłam Odrę. Nie czcimy już rzek jako bóstw, ale zawsze jeszcze są czymś więcej niż drogami spławnymi lub urozmaiceniem krajobrazu. Odra krąży po całym Wrocławiu i wszędzie jest inna. Szeroka gdy płynie za ogrodem zoologicznym wśród jasnych łąk i lekkich drzew, podobna do laguny tam gdzie odbija czerwone mury województwa, czarna i groźna pod mostami w śródmieściu.

Najczęściej wędruję nad Starą Odrą odgradzającą Wrocław od Karłowic. Może dlatego że najlepiej ją znam — bo chociaż tak mało czasu potrzeba, aby coś spotrzec, tyle go musi upłynąć zanim oczy przyswoją sobie jaki obraz — ten bieg rzeki wydaje mi się szczególnie malowniczy i pociągający.

W złe dnie, kiedy wspomnienia szczęścia i nieszczęścia stają się zbyt napastliwe uciekam nad rzekę. W obcym mieście, w czasach, w których jedyną pewnością jest niepewność, człowiek chętnie stwarza sobie zwyczaje i kultywuje je, jakby chciał przez taką liturgiczną powtarzalność szybciej związać się z nową ojczyzną i naprzekór lękom zyskiwał spokój i nawyk pewności i ładu.

Znam już każde drzewo od mostu karłowickiego aż po most kolejowy i wielu z przechodni.

Jest piękne jesienne popołudnie. Pogoda jakaś uroczysta, może w niebie wielkie święto lub na ziemi wielka wojna. Tacyśmy obolali że nawet pogoda wydaje nam się złowroga. Wciąż jeszcze straszą pamięć pogody września 1939 i warszawskie niebo z 1944 r. Ale lazur wydaje się bezgrzeszny, jakby znał tylko przeloty ptaków, ziemia cicha, jakby dźwigała tylko ciężary zbóż i sadów.

Długi wąż barek z węglem stoi przy brzegu. Gdzie niegdzie słońce odbija się w miedzianej blaszce i rzuca łunę pożaru na wodę, która cierpliwymi falami łamie go w złote łuski. Pod mostem odzywa się gwizd stateczku. Poznaję po głosie, że to „Koźle", zgrabny holownik daje znać o sobie.

Powietrze jak wino orzeźwia i podnieca. Niebo pełne złocistych chmur na zachodzie. W dole wody Odry drżą i zmieniają co chwila barwy. Trawa na wałach nadbrzeżnych jest czerwona i zielona równocześnie.

Pod topolą siedzi drobna kobieta i usiłuje przenieść ten widok na papier. — Piekielnie trudne — mówi do siebie i bierze inny ołówek. Jest coś szlachetnego w twarzy i ruchach tej kobiety. Zdaje mi się żem ją już gdzieś widziała, ale w pamięci zjawiają się twarze nie ludzi lecz posągów.

Milicjanci w dole od strony Karłowic obchodzą ogrody, badają ślady przy płocie. Słychać jakby tupot nóg, jest to jednak tylko odgłos spadających jabłek i pigw po sadach.

— Piąta kradzież w Karłowicach od rana — mówi sprzedawca gazet. — To nie miasto a melina. Co drugi człowiek, złodziej. — Panie Pękała — żartuję niech pan uważa, wedle pana jedno z nas musi więc być złodziejem!

Pan Pękała nienawidzi Wrocławia. Często spotykam go przy moście kolejowym. Niewiele tam kupujących, ale zato można zobaczyć pociągi szybujące w stronę Warszawy. A pan Pękała stamtąd przybył. Córka go przywiozła, że niby będzie im lepiej. Sama wróciła do Warszawy. — Com się ją na rękach nocami nanosił, jak ząbków dostawała. A teraz pisze, że miejsca w kuchni potrzebuje na pakę z węglami i zakazuje wrócić.

Biedny stary pan Pękała. Nienawidzi Wrocławia, nie ma odwagi nienawidzieć córki.

Uciekam od niego.

Opodal Odry jest knajpa, gdzie zachodzą szoferzy i pracownicy z żeglugi. W knajpie mówi się: przyszli z żeglugi. Odbywają się tu transakcje handlowe o których nigdy nie dowie się urząd skarbowy, toczą się długie rozmowy polityczne, w których cudaczna plotka jest ostatecznym argumentem. Drewniana buda trzęsie się nie raz wrzawą sejmiku. Najmniej parlamentarne epitety padają pod adresem „Społem". Kiedy raz młoda nauczycielka z nad szklanki wody sodowej odważyła się bronić spółdzielczości, przyjęto jej wywody śmiechem politowania.

Mnie przyciąga właścicielka knajpki. Żaden słownik nie zna słów, których ona używa. Żaden humorysta nie posiada tyle siły komicznej, co ta blondyna o zadartym nosie, z kształtu podobna do kufla piwa. Jest cnotliwa i pracowita. Z epickim spokojem opowiada o Oświęcimiu, dokąd się dostała za handel słoniną. Zastrzega się, że nie za konspirację. Słowo to wymawia z nabożnym wstrętem. Ja nie rozumiem poco się mieszać do polityki, jak przyjdzie czas i tak co ma się rozpaść to się rozpadnie. Ludzie nie rozumieją: na wszystko musi przyjść swój czas. Gdy rzeźnik porzucił żonę i zamieszkał z kochanką — taki czas przyszedł na niego: zakochał się. Szofer spadł z autem do rzeki — także czas przyszedł na niego. Mąż chudziutek, pucołowate dzieci i młodsze siostry poskromieni i ulegli pracują w milczeniu. Blondyna udziela dużego kredytu szoferom i tym z żeglugi. Jej praca polega na patrzeniu. Widać trafnie zgaduje naturę swoich dłużników, bo interes dobrze idzie.

— Niechno który spróbuje mnie zarwać! — odgraża się — pozna kto to Natalka.

Pani Natalka mogłaby żyć za czasów Zagłoby a może i o wiele dawniej, nie byłaby inna, należy do niepokonanego gatunku ludzi trywialnych.

Zaczyna opowiadanie o jakiejś wielkiej defraudacji. Słyszałam już to opowiadanie równie sensacyjne jak nieprawdopodobne. Żegnam się i wychodzę.

Odra stała się perlisto różowa i wody jej wygładziły się jak twarz dziewczyny która usnęła. Niedostrzegalnie przesunął się rąbek chwili, coś się w świecie zmieniło. Nastał wieczór, brzegi opustoszały.

Czas wracać do domu. Oto pora, kiedy trzeba zasiąść w małym pokoju i nucić piosenki, lata całe niepamiętane: o żołnierzu idącym borem lasem, o ułanie kiedy z konia spadnie. Kiedyś śpiewała je nam matka w dalekim, wesołym mieście. Matka umarła, miasto także jakby umarło. Ostały się piosenki. Idę je śpiewać mojej córce, Wrocławiance. Dziś potrafi ona tylko gaworzyć wdzięcznym głosem, ale kiedyś może i ona skolei poda te piosenki — dalej.

Teofil Kowalczyk

Wyznanie dla Wrocławia

Jesteś, jak rana — dla nas i za nas,
róża i ogień i ciepły dom.
Boli serce, gdy wita mnie strzaskana brama,
modlę się, gdy kominy prują twój nieboskłon.
Posłuchaj:

Pątnik — serce, jak dzban, rozbijam u twoich kolan,
ja, syn wsi, poleski tułacz.
Mówię: gdy wiatr kołysze zranione domy i pola,
gdy pieśnią syren fabryki budzą poranek —
twoja mnie więzi wola,
twoje ogrody w czerwień jesienną ubrane
ręce mi wiążą, jak stuła.

Nie odejdę od twych wież złamanych,
nie porzucę cię dla słodszych ust.
Nie uwiodą mnie zaczarowane ogrody.
Wystarczy mi przy tobie dzisiaj płaszcz łatany
i ten księżyc błądzący po składach,
gdy wychodzi z Odry siwych lustr.

Jesteś, jak chleb, jak woda dla spragnionych warg,
miasto niegdyś dalekie — dziś, jak mowa bliskie.
Powiedz, jaki ci bukiet przysłać z szarych słów?
Oto jestem i będę do ostatniego tchu,
związany z twoją dolą i twoim nazwiskiem.
Moim oddechem otul swe mury i park!

Podnoszę cię do góry: biało czerwoną chorągiew!
Wołaj mnie w codziennym trudzie.
Jestem u twoich okien i u twoich fabryk:
dźwigać i budzić.

Roman Aftanazy

Dawna i nowa siedziba Ossolineum

Jednym z najbardziej znanych i charakterystycznych fragmentów Lwowa, jest widok gmachu Ossolineum od strony ulicy Kopernika. Ta bowiem fasada wygląda szczególnie monumentalnie i z powodu połączenia stylu kościelnego ze świeckim — oryginalnie.

Oryginalnością jest kopuła owalna — rzadko w budownictwie świeckim stosowana. Bo też nie świeckie przeznaczenie miał późniejszy gmach biblioteki i muzeum. Założycielkami jego były mniszki — karmelitanki trzewiczkowe, które w miejscu, na jakim dziś stoi Zakład Narodowy im. Ossolińskich, wybudowały w latach 1630 — 1637 kościół drewniany pod wezwaniem św. Agnieszki. Ponieważ jednak, co z drzewa, rzadko bywa trwałe, wspomniane mniszki już w kilkadziesiąt lat później pokusiły się o wystawienie nowego kościoła murowanego, co też im się udało.

Nie byle jaki był ten drugi kościół, gdyż biorąc pod uwagę wszystkie ziemie polskie — reprezentował on wówczas jeden z najwcześniejszych typów świątyń, zawierających formę elipsy.

W ciągu stuleci różnym przemianom ulegał gmach kościoła i klasztoru panien karmelitanek. Wreszcie, po kasacie zakonu (1782), zarządzonej przez Józefa II, mury zostały oddane na użytek seminarium duchownego obrządku rzymskiego, a następnie wojskowości austriackiej. Umieszczenie w nim piekarni, spowodowało pożary w latach 1804 i 1812. Przez 34 lat mury stały opuszczone, narażone na niszczycielską działalność wichrów i deszczów — bezpańskie, rozsypujące się.

Wielkim więc ryzykiem ze strony arystokraty polskiego, pragnącego „ofiarę narodowi i naukom uczynić", — było nabycie ruin, aby po ich odnowieniu mógł on umieścić tam swe bezcenne zbiory.

Pierwsze plany na odrestaurowanie gmachu wykonał z polecenia Ossolińskiego Piotr Nobile, jeden z wybitniejszych przedstawicieli klasycyzmu na przełomie wieków XVIII i XIX. Plany te, odznaczające się tchnieniem monumentalności — z różnych powodów nie doczekały się realizacji. Dopiero więc Józef Bem, artylerzysta i architekt przekształcił, rozbudował i nadał ostatecznie styl zabudowaniom poklasztornym taki, jaki do dziś się zachował. Niewątpliwie w planach swych zapożyczył Bem wiele z projektu Nobilego — ale zasadniczą jego intencją było nadanie książnicy Ossolińskich kształtu rzymskiego Panteonu. Podobieństwa doszuka się też każdy, kto zestawi obok siebie podobizny obu budynków.

Dzieje gmachu Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie opracował dokładnie dr Tadeusz Mańkowski. Nie będę się więc rozwodził nad szczegółami lwowskiej siedziby Biblioteki. Chciałbym raczej zająć się tym gmachem, który już wkrótce powinien skupić pod swym dachem całe milion tomów, liczące zbiory ossolińskie, a który na razie dał schronienie owym 150.000 przywiezionym do Wrocławia w lipcu br.

Ossolineum lwowskie tonie w zieleni starego, prześlicznego kiedyś ogrodu, pełnego wiekowych drzew - olbrzymów. Bardzo one ucierpiały w czasie wojny, ale zawsze jeszcze stanowią pyszną oprawę nadpełtwiańskiego Panteonu. Siedziba wrocławska fundacji Ossolińskiego znajduje się na rogu dwóch cichych stosunkowo ulic: Szewskiej i Uniwersyteckiej, w pobliżu Uniwersytetu. Nie posiada ona nazewnątrz żadnego ogrodu, — ale nie brak i temu budynkowi charakteru monumentalności, choć typu odmiennego, aniżeli ta, jaki posiada Ossolineum lwowskie.

Gmach ten został na cele biblioteczne wybrany przez dyr. Antoniego Knota, który od chwili zapowiedzi o wysyłce części zbiorów lwowskich do Wrocławia, nie spoczął, by nasze skarby kulturalne dobrze zabezpieczyć i jak najszybciej, — na razie to, cośmy odzyskali, oddać do dyspozycji uczonych naszego miasta, dotkliwie odczuwających brak polskich źródeł i opracowań.

Fakt, że wrocławskie Ossolineum znajduje się nieco na uboczu od głównych arteryj miasta i w dzielnicy w znacznej części wyburzonej, sprawia, że nie wielu Wrocławian potrafiłoby wskazać drogę do niego.

Jest to jednak z pewnością jeden z piękniejszych zabytków architektury świeckiej stolicy Dolnego Śląska. A i położenie jego tuż nad brzegiem Odry — także dodaje mu uroku. Dziwnym zrządzeniem losu i ten budynek jest dawnym klasztorem — jak we Lwowie, i dopiero w r. 1811 został on urządzony jako gimnazjum.

Gmach pochodzi z XVII wieku, choć także wiele razy był przebudowywany — a ostatnio w latach 1911 — 1915. Zachował jednak charakter pięknego baroku — tworząc pewną stylową całość z pobliskim kościołem pod wezwaniem św. Macieja oraz głównym korpusem Uniwersytetu. Budynek jest częściowo dwupiętrowy, częściowo jednopiętrowy, założony w kwadracie. Zamyka wielki czworobok dziedzińca — przypominającego może nieco dziedziniec wileńskiej Almae Matris.

Brak ogrodu wyrównuje do pewnego stopnia kilka pięknych, sędziwych drzew, rosnących na dziedzińcu i dzikie wino, oplatające prawie wszystkie wewnętrzne ściany dawnego budynku św. Macieja.

Fundatorem tego gmachu był zakon tzw. Rycerzy krzyżowych (z czerwoną gwiazdą), założony przed wiekami w Palestynie, który następnie przez południową Francję dostał się do Czech, Moraw i do Polski. Na nowej ziemi zmienił zakon swe początkowe rzemiosło rycerskie na pokojowe, poświęcając się pielęgnowaniu chorych w założonych przez siebie szpitalach.

Jednym z takich dawnych klasztorów i szpitali jest właśnie gmach dzisiejszego Ossolineum we Wrocławiu. Mimo swej pozornej prostoty — należy on do najbardziej oryginalnych budynków miasta. Oryginalność zaś jego polega na tym, że połączono w tym wypadku (jak i w lwowskim zresztą) — architekturę klasztorną ze świecką, pałacową.

Prawzoru jego szukać można nawet we wielu zamkach i pałacach włoskich i francuskich, powstałych w tej samej, czy nawet w znacznie wcześniejszej epoce. Decydujący wpływ wywarł tu jednak barok francuski — jakkolwiek gmach św. Macieja reprezentuje niewątpliwie ten sam typ architektury z okresu późnego średniowiecza włoskiego i renesansu, dążącego do możliwie najczystszej kubicznej postaci — co Palazzo Pitti, Palazzo Medici, czy Palazzo Strozzi we Florencji. Bogatszy jest on jednak, — jak już zaznaczyłem, — o rozwinięcie tego czteroskrzydłowego rodzaju budowli, ze ściśle zamkniętym dziedzińcem, według smaku francuskiego baroku.

Jeśli spojrzeć na projekt „Chateau de Coulommieurs", jaki kazała sobie opracować Katarzyna di Gonzaga w 1613 r., — porównując go z interesującym nas w tej chwili obiektem, widać zupełnie podobne rozwiązanie frontonu. Ów francuski prawzór okaże się wprawdzie znacznie bogatszym — ale też innym celom miał służyć i nie został zresztą nigdy wykończonym. I jeszcze jedna różnica — fronton gmachu św. Macieja i główne wejście do niego jest od ulicy Szewskiej, a nie od Odry, choć z drugiej strony jedynie fasada nadodrzańska ma ów styl swój osobliwy i monumentalny.

Przy wznoszeniu tego gmachu o świeckim przeznaczeniu, wprowadzili Rycerze krzyżowi pewną nowość, stosowaną dotychczas tylko przy budowie kościołów i kaplic. Ozdobili mianowicie swą fundację kopułą, umieszczoną pomiędzy dwoma ryzalitami, na zupełnie płaskim w tym miejscu dachu, obramowanym kamienną balustradą z takimiż barokowymi wazami. Ta myśl kompozycyjna rzymskiej szkoły (Barromini, S. Agnese od 1653 r.) została rozwinięta dalej poprzez barok austriacki (Fischer von Erlach, także we Wrocławiu czynny), by następnie przez Czechy dostać się na Śląsk.

Gmach jest właściwie bardzo duży i mógłby pomieścić nie tylko bibliotekę, ale nawet cały Zakład Narodowy im. Ossolińskich wraz z Muzeum im. ks. Lubomirskich i wydawnictwa. Ale niestety ... Jest przy tym wszystkim bardzo zniszczony.

Stosunkowo najlepiej zachowała się partia północna. Ta część wymaga najmniejszego remontu. Gdyby oszklić zabite na razie deskami okna — ozdobione kutą, żelazną kratą, — gmach niewątpliwie bardzo by się „ożywił".

Jako ozdoby, skąpe, lecz w dobrym utrzymane tonie, — występują tu jedyne pilastry jońskie i gzymsy, raz łukowe, raz ostrokątne, umieszczone ponad oknami. W dwu narożnych ryzalitach owe pilastry przechodzą w okrągłe kolumny, nie posiadające zresztą jednakowych kapiteli.

Lecz największą ozdobą frontonu gmachu św. Macieja była owa wspomniana kopuła, uwieńczona latarnią u szczytu i galeryjką wokół niej. Zachowała się wprawdzie komnata pod nią, ale z kopuły ani latarni nie ma nawet śladu. Na szczęście — już po objęciu gmachu przez Ossolineum, nakryto tę część budynku tymczasowo papą i w ten sposób uratowano ją od dalszej ruiny.

Wewnątrz panuje na ogół prostota stylu wczesno-barokowego. Ze sklepionej bramy widzimy stojący pośrodku dziedzińca budyneczek, kryjący studnię, — warunek niezbędny przy urządzaniu prawie wszystkich pałacowych podworców. Wokół dziedzińca biegły niegdyś otwarte arkadowe krużganki, dziś niestety zamurowane, wskutek czego budynek bardzo stracił stylowo.

Sale wschodniego skrzydła budynku zachowały się w stanie możliwym. W tej części, w dwu komnatach zrobiono już nawet półki na książki, które tu w miarę rozpakowywania będzie się ustawiać. Skrzydło zachodnie jest dziś częściowo w stanie nawet bardzo dobrym, dzięki przeprowadzonemu przez Uniwersytet remontowi. Chwilowo mieszczą się tu dwa zakłady uniwersyteckie. Po przeniesieniu ich na inne miejsce — Ossolineum uzyska kilka dalszych, do pracy doskonale nadających się sal, które w przeciwieństwie do pozostałych, będzie można już teraz opalić.

Najgorzej — i wprost rozpaczliwie wygląda południowo - zachodnia część budynku, pozbawiona zupełnie dachu a częściowo także i sufitów. Jest to dużą szkodą, bo w tej właśnie części mieści się prześliczna, bardzo ładnie sklepiona aula dawnego gimnazjum. Gdy się ją pokryje dachem oraz odnowi, otrzyma Ossolineum idealną czytelnię, mającą światło z dwu stron. Aula posiada wysokość dwu pięter.

Większość sal w budynku św. Macieja uległa przed trzydziestoma laty tak dokładnej przebudowie, że dawnej architektury i dawnych ozdób trudno się tu, — za małymi wyjątkami, — w ogóle dopatrzyć. Tylko we wschodniej części skrzydła nadodrzańskiego zachowało się kilka komnat, mogących dać wyobrażenie o tym, jak i inne zapewne dawniej wyglądały.

W jednej z nich dostrzec można sztukaterie, przedstawiające fantazyjny ornament o motywach liści akantu — znamionujące wybitnie smak północno-włoskich artystów XVII stulecia. Dziś niestety i te sztukaterie pociągnięte są jednostajną bielą wapna.

Najpóźniej (1715) zostało wykończone to skrzydło budynku, które ozdobione jest kopułą, toteż nosi ono charakter późnego baroku. Sala kopułowa robi wrażenie jasnej kaplicy. Sklepienia jej pokrywają freski Jana Eybelwiesera, utrzymane w kolorycie schyłkowego malarstwa niederlandzkiego. Malowidła te wyobrażają pewne fragmenty z życia Rycerzy krzyżowych oraz ich domy. Białe, złocone sztukaterie uzupełniają obraz całości.

Gdy porównamy ze sobą oba budynki — lwowski i wrocławski — palmę pierwszeństwa oddamy zapewne lwowskiemu, jako piękniejszemu, okazalszemu, a co najważniejsze — naszymi zbudowanemu rękoma i bliższemu nam sercem, tyle, — i jakich! — wywołującemu wspomnień... Ale po całkowitym odnowieniu, także i wrocławskie Ossolineum, będzie miało wygląd dostatecznie reprezentacyjny, jako budowla typu pałacowego, mogąca być siedzibą tak wielkich naszych skarbów kulturalnych.

Biura Biblioteki im. Ossolińskich mieszczą się na razie w południowo-wschodniej części gmachu — na pierwszym piętrze. Pod kierunkiem dwojga ossolińczyków (prawie wszyscy pozostali, jeszcze dziś są we Lwowie), to jest kol. Dra Franciszka Pajączkowskiego i Stanisławy Brückmann, — przyjęci kontraktowo nowi pracownicy (do chwili przybycia stałych) —, wypakowują ze skrzyń książki nadesłane ze Lwowa, katalogują je systemem na razie uproszczonym z zachowaniem dawnych sygnatur — a następnie — wydawnictwa już opracowane, ustawiają na półkach. Dyr. Antoni Knot wraz z wymienionymi ossolińczykami stara się jeszcze o urządzenie gmachu najbardziej niezbędnymi sprzętami — bo brakuje wszystkiego.

Ministerstwo Ziem Odzyskanych przyznało na cele restauracji gmachu przez Dyrekcję Odbudowy 5 milionów złotych. Skąd inąd i na inne wydatki, m. in. na utrzymanie personelu, ma Ossolineum otrzymać dalszych 6 milionów. Są więc widoki, że już wkrótce książki ossolińskie, znajdujące się we Wrocławiu, a będące w swej większości tak upragnionymi tu polonicami, znajdą się w ręku pracowników naukowych.

Jakkolwiek nieznane są nam szczegóły przygotowywanego dalszego transportu książek oraz naszych dóbr kulturalnych ze Lwowa — to jednak niezmiernie nas cieszy jego zapowiedź, podana ostatnio przez dzienniki.

Wydawnictwo A W I R Katowice
EDMUND OSMAŃCZYK
„S P R A W Y P O L A K Ó W"
książka denerwująca, którą każdy przeczytać powinien!
Żądać we wszystkich księgarniach!

Nagroda Literacka
Czytelników »Odry«
Ósma lista składek

Antoni i Czesława Rączaszkowie Czeladź 1.000 zł
R. S. T. Aparaty Elektryczne Patentów Inż. Zenona Rosnowskiego, Bielszowice 1.000 zł
Ste - Han, Spółka Techn.-Handl., Katowice 500 zł

Firma STE-HAN na dalsze ogniwa łańcucha fundatorów proponuje:

1. *Księgarnię i Skład Nut M. Koepplinger, Katowice, ul. Kościuszki 14*
2. *„Almet" Sp. z o. o., Katowice, ul. Stawowa 20*
3. *„Towarnicki H. i Ska" Biuro Techn.-Handl., Katowice, Pierackiego 8*

Suma dotychczas złożonych składek wynosi 39.500 zł. Dalsze składki prosimy kierować na konto P. K. O. Katowice III-4690 z dopiskiem „Nagroda Literacka Odry".

Ossolineum, Lwów. Książnica od strony góry Wronowskiego.

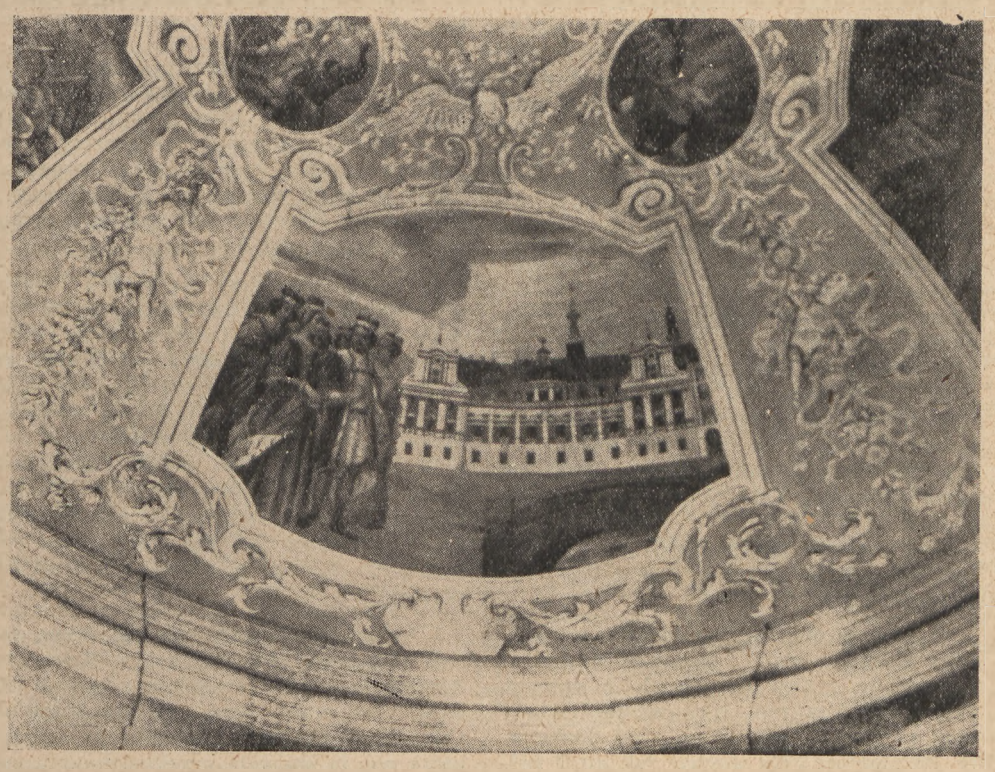

Fresk w kopule budynku b. gimnazjum św. Macieja we Wrocławiu z widokiem gimnazjum.

Dawny gmach gimnazjum św. Macieja, dziś Ossolineum we Wrocławiu.

Stefan Sulima

Ziemia odnalezionych przeznaczeń (7)

Laboratoria polskości

1. Pasym-Rudziska.

Uniwersytety ludowe w swym założeniu nie są szkołą w pospolitym tego słowa znaczeniu. Ich rola polega nie tyle na nauczaniu, ile na kształtowaniu osobowości wychowanków, na otworzeniu przed nimi szerszych horyzontów myślowych, rozszerzeniu skali przeżyć i uintensywnieniu obcowania ze skarbami kultury rodzimej i ogólno-ludzkiej. Stwarzają one pewien specyficzny klimat duchowy i pole startu życiowego dla młodych chłopskich dusz, których szlachetną pasją jest umiłowanie piękna i wiedzy. W pewnym sensie, jak i szkolnictwo uniwersyteckie, są one dostępne dla wybranych jednostek. Nie są instytucjami masowymi: fabrykami. Przypominają raczej zaciszne laboratoria. przez wysokość aspiracji wyrastają ponad codzienność i przeciętność środowiska. Jednakże mimo to wszystko krąg ich wpływów ma mieć tendencje rozszerzania się, dla podniesienia ogólnego poziomu kulturalnego wsi brzemienne.

Mimo, że dwa uniwersytety pruskie nie spełniają szeregu tu wymienionych postulatów, mimo że samo życie wyznaczyło im rolę uczelni w zakresie normalnej szkoły, nie można im odmówić ścisłego pokrewieństwa z ich pierwowzorami. Rolą ich bowiem jest, na pewien przynajmniej czas, budzenie zaniedbanej pod względem uświadomienia narodowego młodzieży i otwieranie przed nią tajemnic polskości. Jeśli z krajowych uniwersytetów ludowych wychodzi się pełniejszym człowiekiem, te oprócz tego ma się opuszczać i opuszcza z świadomą lub choćby tylko rozbudzoną polskością.

Metody pracy są podobne w obydwu rodzajach instytucji. Poza pewną dozą nauki o charakterze jakby powiedzieć seminaryjnym, zajęcia świetlicowe (z referatami, dyskusją, imprezami kulturalno-rozrywkowymi. zabawami i przyswojeniem obyczaju, pieśni i literatury ludowej) i praktyczne (dla ogólnego podniesienia poziomu życia) tworzą główny zrąb programu kilkumiesięcznej pracy. Głównym jej motorem pozostaje jednak osobiste ustosunkowanie wychowanka i ambicja dążenia ku wyżynom, które dopełniają i uintensywniają wysiłki wychowawców, ich umiłowanie sprawy i poświęcenie. Wyniki są współczynnikiem tych elementów.

Co się tyczy osiągnięć pruskich uniwersytetów ludowych, są one tego rodzaju, że aczkolwiek z podróży mojej wyniosłem wspomnienie wielu pozytywnych osiągnięć polskości na terenie pruskim, tym nie mniej nie waham się wyników pracy obu tych placówek zaliczyć do rzędu najpozytywniejszych.

Aby rozumieć doniosłość ich, koniecznym jest cofnąć się wstecz ku niemieckiej przeszłości tej ziemi i przypomnieć choćby pesymizm szeregu polskich znawców problemu i publicystów w stosunku do sprawy repolonizacji szczególnie młodego pokolenia. Tragizm uciemiężenia dusz, wydestylowania nawet ze szczątków etnicznej odrębności, a zatrucia jadem najpodlejszego gatunku szowinizmu niemieckiego, stanowił zmorę dla Polski, która tu przyjść miała, zapowiedź skomplikowanych, może beznadziejnych powikłań.

Pierwszym z uniwersytetów pruskich, widzianych przeze mnie, był **Uniwersytet Mazurski** i dlatego sięgne do mazurskich ilustracji stosunków z lat po plebiscycie.

Sędziwy, a natchniony cieśla „z Ogródka w powiecie łeckim", **Michał Kajka,** nie raz gdy żałość „nad ojczystej mowy zgonem" go opadła rzucał precz topór i wziąwszy w grube, spracowane palce ciesielski ołówek, wylewał na pierwszą lepszą deskę nadmiar nabrzmiałych bólem skarg:

Niech nasze błagalne głosy
Za nasz lud ukochany
Wzbiją się pod niebiosy
Lub gdzieś hen za oceany,
Niechaj zabrzmią smutnym tonem
Nad ojczystym mym zagonem.
My kołaczem do sumienia
Wszystkich kulturalnych ludzi,
W których sercu bez wątpienia
Współczucie się z nami budzi,
Niech uznają boleści owe:
„Stracić macierzyńską mowę!"

Gdy zaś nawet w najbliższym kręgu jego rodziny padały ofiary germanizacji (wnuki Kajki nie mówiły już po polsku), rzucał pełne dramatycznego napięcia wezwania pod adresem rodaków:

Podajcie nam bratnie dłonie,
Bowiem mowa nasza tonie!

To przemawiało mocno do wyobraźni i przekonania, skłaniało do pesymizmu, bo przecież trudno było brać pod uwagę, i budować na tym. nawpół mistyczne tezy innego ludowego poety Gottlieba Skowronka z Połomna, że

Bóg sam mową nas obdarzył
Z naszą duszą ją skojarzył

i na tych przesłankach opartą ufność Kajki, że mimo wszystko

Jeszcze nie zgasły zarzewie
Naszej ukochanej mowy,
Rozwinie się jak na drzewie
Liście w piękny czas wiosenny.

Realia przemawiały przeciw możliwościom odrodzenia polszczyzny na zgermanizowanych ziemiach, a pokost niemiecki krył gruntownie przed szkiełkiem i okiem tlące iskierki zarzewia. Łatwiej było tłumaczyć wzruszające zaklęcia Kajkowe do ojczystej mowy bezsilnym, starczym marzycielstwem, niż niecierpliwą, ale ufną tęsknotę do przyjścia Polski, która może rozniecić płomień uświadomienia narodowego w każdej uczciwej tuziemczej piersi:

O, ojczysta nasza mowo —
— tęsknił Kajka —
Coś kwitnęła nam przed laty,
Zakwitnijże nam na nowo,
Jako kwitną w lecie kwiaty.
Zalśnij nam jako zorze,
Przywróćże nam skarb nasz istny,
Aby w domu lub we zborze
Istniał język nasz ojczysty.

Nie były to bynajmniej bezpłodne marzenia. **Dziś trzeba schylić czoło przed Kajkową znajomością mechanizmów dusz i spraw ludzkich,** bo na naszych oczach dokonuje się cud, a nie cud, rozpalania zarzewia w młodych duszach mazurskich, którego rewelacyjność wieści przez cały fronton uniwersytetu w Rudziskach umieszczona trawestacja Kajki o ojczystej mowie, która „z a k w i t n ę ł a nam na nowo".

Rozbudzanie polskości nie jest jednak sprawą prostą. Jest to bądź co bądź operacja duszy, i jako taka przeprowadzona być musi z maksymalną ostrożnością, doświadczeniem i niemałą dozą subtelności. Nie dokonuje się ono bez wstrząsów wewnętrznych i bez wewnętrznych oporów w psychice pacjentów jedynych w swoim rodzaju klinik, czy laboratoriów ducha, i wymaga iście samarytańskiego oddania ze strony wychowawców.

*

Oba uniwersytety mają pod tym względem własne metody i obydwa mimo tych odrębności uzyskują pozytywne wyniki. **W Rudziskach droga do polskości prowadzi przez mazurski regionalizm.** Pieśń ludowa, dawny zwyczaj, czar i instynktowna bliskość gwary, bogactwo rodzimej literatury ludowej, taniec wreszcie ludowy, stanowią **rozpuszczalnik niemieckiego pokostu,** wytwarzają atmosferę ciepła i swojskości, w której młodzi ludzie odkrywają w sobie coś więcej niż nalot niemczyzny, sztucznie, choć mocno krępujący dusze. Jest to okres, w którym zaskoczenie i upojenie wprawiają młodych ludzi w stan oszołomienia i decydują o dalszej postawie życiowej. Młodzież odkrywa w sobie samorzutną wrażliwość na rodzimy folklor i jego ożywczy wpływ. Często w tym czasie Rudziska rozbrzmiewają od rana do nocy śpiewem pojedynczym i zbiorowym. Zapamiętała, zawsze świeża i niepowszedniejąca pieśń leci z nad jeziora, z pobliskich wzgórz, tłucze się w murach gmachu, dolatuje z samotnych sypialni, miesza z uderzeniami topora i dźwięczeniem kuchennych rondli. Czaruje dusze.

Teraz już łatwiej mówić o historycznej i etnicznej łączności z Polską, o tragiźmie losów mazurskiego regionu, o jego odrębnościach i odnalezionych przeznaczeniach. Jest to okres trudny, bo rewolucyjny. To, co zapada teraz w świadomość młodego Mazura czy Mazurki, burzy i przekreśla dotychczasowe podstawy mentalności, niewzruszone kanony myślenia. Stawia przed oczyma konieczność odcięcia się od całej dotychczasowej przeszłości. Trudny to okres dla wychowanka, (a także i dla wychowawcy) obfitujący w dramatyczne spięcia ciche wewnętrzne walki, szamotania i zwątpienia. W tym czasie milknie chwilami nawet pieśń.

Przełamuje się młodzież i deklaruje po stronie wrodzonej narodowości, aby wreszcie zetknąć się z dziejami i kulturą swej szerszej, niż region ojczyzny. Świat nowych wrażeń, nieprzeczuwalnych wzlotów i upojeń ukazuje się ledwie rozchylonym oczom. Trzaskają wiązania niemieckich sformułowań historii, pękają uprzedzenia wobec własnego narodu i jego kultury, Polska wyłania się wielka i potężna. To krok ku źródłom narodowej dziedziny ducha, ku literaturze i sztuce, ku znajomości kraju i jego bogactw kulturalnych i materialnych. Jeszcze nie jeden opór musi być przełamany, nie jedna decyzja o hamletowskim prawie zakroju musi zapaść, ale zarzewie wznieciło już dostatecznie silny płomień i byle wiatr przeciwny go nie zdmuchnie. Wychowankowie mogą iść już w świat i umacniać się w świeżo zdobytej świadomości. Mają wyznaczoną marszrutę życia i cel jego: ojczyznę.

Zreferowany pokrótce przebieg uniwersyteckiego kursu ma wiele stron, dla których naświetlenia trzeba by obszernego studium. Uświadomienie przebiega stopniowo i indywidualnie, czasem w męce i rozterce, czasem w radości i olśnieniu. Chyba tylko przykład może dać pogląd na różnorodność faz tego procesu i niespodzianki, wobec których stają zarówno wychowawcy jak wychowankowie.

W uniwersytecie rudziskim wybija się młoda, inteligentna dziewczyna mazurska. Jest pełna zapału, ma wiele intelektualnych zainteresowań i potrzeb. Nieznany świat polskiej myśli jest dla niej objawieniem, które olśniło niespodziewanie zdumione oczy. Korzysta wiele, chłonie wiedzę, przoduje. Ale pogruchotana skorupa niemczyzny uwiera jeszcze w wielu miejscach. Jeszcze nie wszystkie przesądy przeszłości, zostały zwalone, nie cały arsenał zatrutych pocików rozbrojony. Wybucha nagle, niespodziewanie dla siebie i drugich. Tak się zżyła z Goethem i romantyczną poezją niemiecką, że w rozstaniu się z nim, kryje się silny cios dla jej intelektu. Narastający nurt polskiej świadomości najprzypuszczalniej będzie się starał zmyć brutalnie nawet ślad tych ukochań, jeśli zgoła nie postawi warunku wyrzeczenia. Dziewczyna cierpi. Niedawno dopiero opanowała język, istnienie kultury ojczystej wyczuwa raczej z pobieżnie potraktowanych i siłą faktu fragmentarycznych wykładów. Nie zdaje sobie sprawy z głębi i szczytów polskiego ducha. Nadchodzi chwila, w której trzeba jej będzie pomocnej dłoni i oparcia, aby wyszła na światło z ciemności zwątpienia. Przed wychowawcą staje jeden z codziennych problemów, odsłania się jedna z najtrudniejszych stron posłannictwa. Trzeba wytłumaczyć mazurskiej dziewczynie, że z ogólnoludzkimi wartościami twórczości Goethego nikt w Polsce walczyć nie myśli. Trzeba wezwać na pomoc magiczny czar mickiewiczowskiego cytatu i zaświecić światełko nadziei, że literatura narodowa jest niewyczerpaną dostarczycielką wrażeń i doznań. Ta perswazja stanowi próbę zaufania do szczerości i uczciwości wychowawcy. Dziewczyna je ma. Przecież jej mistrzem jest sam Karol Małłek, Mazur. zaprzysięgły miłośnik rodzimego folkloru. Jego pracę cechuje ojcowska poufność, olbrzymie przywiązanie do placówki i doświadczenia lat.

Cierpienie przechodzi. Ukojenie i słoneczny spokój na jakiś czas rozjaśniają życie młodej Mazurki. Przez kilka dni w zapamiętałym śpiewaniu wyżywa swoją radość. Ale nie jest to ostatnia walka i ostatnie zwycięstwo. Odkąd, nie mówiąc jeszcze po polsku, przekroczyła próg uniwersytetu, życie jej stało się ciągłym zmaganiem z samą sobą, budzącym instynktem i balastem niemieckiej przeszłości, ciągłym okrywaniem i gubieniem dróg. I nie moż-

Kazimierz Andrzej Jaworski

Literatura w obozie koncentracyjnym

(Wspomnienia z Oranienburga)

Po trzech tygodniach wstępnego okresu t. zw. „kwarantanny", po zaprawieniu się w jej okropnościach, po uciążliwym wdrożeniu się w regulamin więzienny, po przystosowaniu wciąż buntującego się żołądka do skąpych racji żywnościowych — wśród wielu z nas budzić się począł coraz dotkliwszy głód, który niczym oszukać się nie da, — głód książek. Namiastką ich były rozmowy „intelektualistów" w „Stehekommando", ale wywołały one tym większą oskomę do bezpośredniego obcowania z wielkimi duchami.

W tym czasie nastąpiło zbliżenie się moje z Antonim. Zwrócił moją uwagę jeszcze podczas pobytu na kwarantannie. Szafki nasze sąsiadowały; kiedyś gdy kładłem po obiedzie miskę na półce, usłyszałem, jak ktoś obok cicho i pięknie gwiżdże. Odwróciłem się. Porządkował w swej szafce i nawet nie zauważył, że ktoś go z przyjemnością słucha. — To z „Toski", kolego? — zapytałem. — A tak! — uśmiechnął się sympatycznie. Tyle było naszej dawnej znajomości.

Miał rysy wyraźnie semickie jak i nazwisko, ale na każdym kroku akcentował swoją polskość.

Na nowym miejscu zwąchaliśmy się podczas nieskończonych postojów w Stehekommando. Coś się zgadało o muzyce. Przypomniałem mu, jak gwizdał wtedy arię z „Toski". Ach, słuch miał doskonały. Przyjemnie było słuchać jak nucił półgłosem wszystkie moje ulubione melodie, a zwłaszcza urzekające mnie zawsze swą sugestywną monotonią Bolero Ravela. skracało to czas wyczekiwania na apel wyśmienicie otwierało złudnie choć na chwilę inny świat, kiedy człowiek nie myślał tylko o chlebie.

A potem zahaczyliśmy o literaturę. Nazwisko moje znał z „Robotnika", zetknął się z „Kameną". Odczuwając dotkliwie brak książek zaczęliśmy odtwarzać sobie z pamięci znane nam poezje. Uzupełnialiśmy je sobie wzajemnie. Kochanowski i Mickiewicz, Słowacki i Wyspiański — jakże szybko upłynął nam czas do apelu!

A potem uczyliśmy się w ten sposób wierszy na pamięć. Jakiś ogryzek ołówka, jakiś strzęp papieru i notowało się zwrotki po kryjomu. A potem powtarzało się wiersz po obiedzie i przed pójściem spać. Inne zaczęło się życie. Ożywczy strumień pięknej polszczyzny koił strapionych, nawet głód łatwiej było znosić. Opiekuńcze duchy wielkich wtajemniczonych unosiły się nad nami i czuliśmy ciepłe oddechy tych, co równie jak my, choć nieco odmienniej, cierpieli oderwani od ziemi ojczystej.

I Antoni właśnie odsłonił mi piękno poezji Heinego, którego był wielbicielem. Znałem ją mało, z przekładów tylko i podziw brał mnie teraz, jak ten człowiek chrapliwe dźwięki nienawistnej mowy, która nas tu smagała przekleństwami, nagiąć potrafił do oddania najczulszych doznań duszy ludzkiej. Tak, ale to poeta przez hitleryzm wyklęty, wymazany z wszystkich antologii i podręczników szkolnych, w których pozostała jedynie niemożliwą do skreślenia nieśmiertelna „Lorelei", a pod nią napis: autor nieznany. Tak, jak nieznane są wszystkim hitlerowskim pachołkom te serdeczne uczucia zamknięte w strofach „biednego Henryka".

Przekład pięknego wiersza „Es war der alte König" dokonany z braku papieru na pudełku od papierosów był pierwszą moją z niezliczonych prób literackich w obozie. Za nim poszły pełne gryzącej ironii wersety „Das Weib". Praca ta wykonywana podczas męczących postojów w Stehekommando, gdy nogi puchły od stania, lub w wolnych chwilach poobiadowych, kiedy można było już przysiąść, odrywała mnie od koszmarnego otoczenia i stwarzała złudzenie niezależności. Gdy w okresie poprzedzającym pierwsze Boże Narodzenie w obozie przygotowaliśmy się do uroczystego obchodu tego najbardziej rodzinnego święta z dala od najbliższych, napisałem — również podczas naszych postojów — wiersz, w którym starałem się oddać to wszystko, co czuł w tym dniu każdy z nas oderwany od ukochanych, a całym sercem rwący się ku nim. Przez zaciśnięte rozpaczą gardło załamującym się głosem recytowałem kolegom:

I każdy z nas w skrytości marzy,
przeżywa świętej nocy czar:
oto jest pośród drogich twarzy
i słyszy znów dziecięcy gwar.

Oto wesołe drzewko płonie,
blask skrzy się kolorowych świec,
ktoś nam serdecznie ściska dłonie
chcąc przy opłatku słówko rzec.

na powiedzieć, by zaraz za progiem uniwersytetu miało się to skończyć.

W przededniu wyjazdu z Rudzisk rozmawiam po kolacji z byłą nauczycielką niemiecką, dwudziestokilkoletnią Mazurką z powiatu szczycieńskiego. Na sali znajdują się goście, którzy według panującego zwyczaju produkują się ze swymi umiejętnościami ku niebywałej uciesze czterdziestki wdzięcznych słuchaczy. Dwie trzecie tej liczby stanowią dziewczęta, bo taka conajmniej w wyniku wojny jest proporcja między obu płciami na Mazurach i Warmii. Mimo panującego gwaru i ożywienia rychło odrywam się od rzeczywistości pod wpływem zwierzeń dziewczyny. Chodziła do szkół niemieckich i od szóstego roku życia nie mówiła po polsku. W domu u niej mówiono gwarą, babka w ogóle nie rozumiała po niemiecku, matka nie wiele. Cała rodzina była mazurska, jak zresztą i wieś rodzinna, przywiązana do tradycji i obyczaju. Z chwilą pójścia do szkół związek z domem zerwał się, a wpływ jego skończył. Szybko zapomniała języka, tak że gdy przyszła do uniwersytetu ludowego nie mówiła zupełnie po polsku. Po doświadczeniach poprzedniego kursu, sprowadził dyrektor do Rudzisk kilkoro młodzieży z Śląska Cieszyńskiego i Działdowszczyzny i przy ich pomocy w stosunkowo krótkim czasie opanowała zapomnianą mowę ojczystą.

Opowiada, jakim wstrząsem był dla niej kurs. Jeszcze w szkole odczuwała bliżej nieuświadomione wątpliwości co do obiektywności niemieckich tez o Mazurach. Pragnęła je wyświetlić, ale nie przypuszczała, ile fałszu kryje się za tendencyjną nauką szkolną i własnym dorobkiem zdobytej wiedzy. Jednym z olbrzymich przeżyć było dla niej zachwianie wiary w rzetelność historii i bezstronność nauki niemieckiej. Już sprawa misji kulturalnej krzyżaków uderzyła ją odmiennością poglądów i większą wszechstronnością polskiego ujęcia, nawet na zwykłym szkolnym poziomie. Był to jeden z momentów zwrotnych. Nie mówiła, jakim wysiłkiem — przezwyciężonych. Po kilku miesiącach opanowała język tak, że swobodnie czyta po polsku. I to nie przyszło łatwo. Już sam alfabet polski z nosówkami i zmiękczeniami stawiał wszystkim poważne przeszkody. To, co mówiono do niej o Polsce, co później czytała, nie miało początkowo w jej świadomości żadnej podbudowy. Wiele szczegółów lektury brzmiało jak pusty dźwięk i nie kojarzyło się w składną, niedwuznaczną całość. Nauka historii i literatury polskiej, zbliżenie do folkloru i obyczaju, odkrycie własnych dyspozycji psychicznych i związku duchowego z polskością rozświetliło jej dopiero wiele wątpliwości i ciemnych stron. Powstał między nią a poglądami, wyniesionymi z życia w niemieckim otoczeniu, jakiś krytyczny dystans, zrodziła się nowa umiejętność patrzenia, odczuwania i rozumienia tajemnic polskiej psyche i narodowej kultury.

Pytam, jaka polska lektura była dla niej największym przeżyciem.

Pobił ją Mickiewicz głębią natchnienia i precyzją słowa. Bliski był Kajka z problematyką tragedii wynarodowienia, ale... — wyznanie brzmi zgoła nieoczekiwanie — „największe wrażenie robi na mnie i najbardziej jest mi bliska... Rodziewiczówno".

Gdy rozmowa nabrała cech całkowitej szczerości i dostatecznej intymności, zaryzykowałem pytanie, **jak daleko** — jej zdaniem — **dotarła w ewolucji odzyskiwania świadomości narodowej.**

Była szczera i patrzyła mi prosto w oczy z uczciwością tutejszych ludzi, która tak bardzo chwyta za serce, odpowiedziała bez fałszywego wstydu i zażenowanej frazeologii:

— Wiem, że jestem Mazurką, a to oznacza łączność z Polską, ale... W tym miejscu zacięła się, nie mogąc dopowiedzieć czegoś, co jej zdaniem trafnie oddawałoby stan oczekiwania na całkowite, żywiołowe przebudzenie świadomości.

Pewnie chciała powiedzieć, że pytanie było zbyt nagłe i że przeżycia nie przychodzą na zawołanie, że aby uzyskać całkowitą pewność przekonania, nie wystarczy się sugerować pozorami ale trzeba przejść nie jedno wewnętrzne zmaganie, że niektóre gwałtowne olśnienia przełamują się do świadomości długo i boleśnie. A może nie miała pewności, czy ja, człowiek, który w wielkim darze losu otrzymał bez wysiłku gotowe piętno polskości, potrafię ją zrozumieć.

Użyłem wytartego porównania o ziarnie i glebie. Trafiło jej do przekonania. Podniosła z nad stołu twarz, wolną już od grymasu napięcia:

— Tak, wiele jeszcze musi we mnie dojrzeć. Ale to przyjdzie samo. Przez cztery miesiące tak się działo, pewnie i w tym wypadku nie będzie inaczej. Nim to jednak nadejdzie — dorzuciła już innym, lżejszym jeszcze tonem — mam bliższe i większe zmartwienie. Wie pan jakie?

— Chciałabym zgubić mój twardy akcent, który jak mi się zdaje, jest spadkiem po niemczyźnie.

Różne są imponderabilia, brzmienne dla kształtujących się przeświadczeń. Pomyślałem, czy to zmartwienie młodej dziewczyny nie jest jednym z oporów więżących w jakąś nową psychiczną rewolucję

Bawiłem dwa razy w Rudziskach. Drugim razem pod sam koniec kursu. W tym czasie nauka zeszła już na plan dalszy, a młode wyobraźnie zajęte były przez wizje przyszłości. Wałkowano jej sprawy z uporem i niewyczerpaną żarliwością, z drżeniem debiutantów. Wiele czasu zajmowała wychowankom stylizacja podań o przyjęcie do szkół, urzędów i biur. Wkładali w nią pasję, maximum uwagi i rzetelności. Życiorysy wymieniały pedantycznie lata nauki, przymusowe praktyki i miejsca pracy, wrodzone zamiłowania. Młode pokolenie mazurskie, z niezwykłą w tym wieku odpowiedzialnością, wybierało się w życie. Większość dziewcząt szła na kurs przedszkolanek, nieco mniej na kurs pedagogiczny, część do gimnazjum lub liceum, niektórzy do administracji. W gorączce przedodlotowej było coś, co skłaniało do refleksji i porównań. Jak brzemienny w następstwa potrafi być krótki czas czterech miesięcy. W życiu tych ludzi w ciągu zgórą setki dni dokonały się niezwykłe zmiany. Gdy tu przychodzili byli stadkiem zastraszonych i zagubionych stworzeń, dziećmi ziemi niczyjej. Obecnie stawali do pracy uzbrojeni w świadomość dalszych przeznaczeń, by wykuwać przyszłość własną, zautanie do mazurskiego wysiłku i swych rozkwitających polskich serc. Czyż to się mieści w mędrca szkiełku i oku

— Nie wypuścimy ich całkiem z pod opieki — mówi p. Małkowa, wierna towarzyszka mężowych wysiłków, dla której uniwersytet jest jednocześnie domem i warsztatem pracy, bez urzędowych godzin i zawarowanych pór wytchnienia od zajęć. — Czeka ich jeszcze nie jedno doświadczenie w życiu, nie jedna pełna goryczy i upokorzenia chwila. Nie raz jakiś brutal ciśnie im w oczy obelgę, którą zakwestionuje serdeczny i gorliwy wysiłek, włożony w odnajdywanie polskości, utajonej pod pokostem niemieckiego nalotu, zlekceważy dorobek świadomości, zdobyty w serdecznej walce, wśród zwątpień, szamotań i rezygnacji.

— Nie wypuścimy ich zupełnie... W oczach wychowawczyni dostrzegam zamyślenia i czujności oczekiwania, która w przyrodzie powstaje w chwilach, gdy na horyzoncie pokazują się czarne, burzowe chmury. Ale obok tego chwytam w przelocie przebłyski mocnej ufności, jakie daje świadomość spełnionego do końca obowiązku.

— Staraliśmy się pokazać im Polskę od najlepszej strony. Od strony ludzi uczciwych, dobrych i mądrych, bo to tylko było w stanie skutecznie zwalczyć systemat uprzedzeń, wybudowany przez Niemców, i zatrzeć pierwsze przykre wrażenie, wyniesione z zetknięcia z szabrownikami i mętami. Każdego gościa, który miał coś do powiedzenia o swej pracy czy specjalności, prosiliśmy o pogadankę lub wykład, z których wychowankowie nasi poznawali kraj i intesywność dokonywanych w nim prac. **Pokazaliśmy im Polskę od strony wielkiej kultury, wielkoduszności i człowieczeństwa. Reszta zależy od społeczeństwa. Jeśli warunki będą dobre, wrośnięcie tej młodzieży w naród pójdzie łatwo, ale gdy serca ludzi pozostaną przed nią nieufnie zamknięte, gdy usta będą się otwierały do szyderstwa i krytyki, naszej pracy braknie niezbędnego dopełnienia.**

W kilka dni potem miał przyjechać do Rudzisk nowy kurs, trzeci z kolei. W porównaniu z pierwszym, pozbieranym z całych Mazur, który marzł i chorował w prymitywnych warunkach, któremu groził głód, w ostatniej często chwili oddalany od progu przez zapobiegliwego dyrektora, kurs ten nie miał już zaznać poważniejszych trudności i kłopotów. Wytrwała praca K. Małłka, który swej placówce poświęcił cały bez reszty czas i całą zaprzedał duszę, sprawiła, że nawet te czynności gospodarcze, które dotąd nosiły cechy walki o byt, stały się tylko przedmiotem nauczania. Uniwersytet ma dziś oparcie we własnym, zasobnym gospodarstwie rolnym i hodowlanym, gdy idzie o materialne potrzeby, w sferze zaś ducha o bibliotekę, która w ciągu niedługiego czasu wzrosła do 400 tomów. Nowy kurs będzie kroczył ku Polsce, bardziej utartą i łatwiejszą drogą, aby przybliżać chwilę, o której marzył zakochany w polskości Kajka, gdy przełamią się napiętrzone przez wieki tragizmy i każdy Mazur w pełni świadomości narodowej będzie mógł powiedzieć:

Niech w innym kraju pachną owoce
Tak, jakby w raju kwiaty urocze,
Niech cudze strony chwali kto inny,
Ja, swe zagony i dom rodzinny:
Dźwięk ojców mowy, rodzinna strzecha
I umysł zdrowy jest ma uciecha.

Jeszcze jeden czynnik wpływa cudownie na wrażliwe młode dusze i kształtuje je, aczkolwiek niedostrzegalnie: bajkowe położenie Rudzisk wśród zalesionych wzgórz nad przepięknym jeziorem.

Widziałem na Mazurach i Warmii wiele piękna przyrody, widziałem nie jeden wschód i zachód słońca, nie jedną poranną mgłę, wszystkie inne niż poprzednio widziane, wszystkie pełne niewypowiedzianego uroku. Pewien poranek w Rudziskach zajmuje wśród tych przeżyć honorowe miejsce.

Rankiem przed wyjazdem poszedłem się umyć do jeziora, które w ciepłej porze służy kursistom za łazienkę. Słońce weszło już za lasem i rzucało na strop niebieski delikatny odblask w kolorach od blado czerwonego po żółty odcień herbacianych róż. Las i jezioro pozamykane w półkolach zatok tonęły jeszcze w cieniu. Z nad wody unosił się lekki pył porannej mgły, który przy brzegach gęstniał nabierając nieprzeniknionności i zasłaniał perspektywę niby jedwabna zasłona, niby poranny peniuar, na którym ręką japońskiego grafika wyczarowane, z niedoścignią delikatnością barw i miękkością rysunku odcinały się blade sylwetki drzew.

Zwolna promienie słoneczne poczęły złocić wierzchołki drzew po wschodniej stronie jeziora i rzucać żółtawe blaski na przeciwległy brzeg. Nad ciemnym jego konturem chybotał złotawy pył, z za którego niby w zbliżeniu filmowym wyłaniała się zieleń i rozjaśniony kolorami las.

Niebieski operator w natchnieniu i upojeniu wygrywał w niewiarygodny sposób możliwości słonecznego reflektora. Pod jego światłem opar mgły rozpraszał się bez śladu, blask ścigał ustępujące dymki mgieł, a w ślad za nim tafla jeziora zaczęła wchłaniać w siebie obraz budzącej się ze snu przyrody.

Na nieruchomej prawie powierzchni wody z ledwie dostrzegalnym chybotem zakołysały nagle żółte, białe i różowe chmurki, rzucone na tło soczystego seledynu. Las pochylił się nad brzegiem, jakby chcąc obmyć w jeziorze ślady nocy i ciemna sylwetka jego wpadła do wody niby wielki ciemny liść.

Był to widok niezapomniany. Porwałem nieodstępny notes i pod dyktatem natury spisywałem fragmenty rozgrywającego się misterium powstawania dnia. Potem odwróciłem wzrok ku uniwersytetowi. Świecił białymi ścianami ze zbocza wzgórza, niby samotna latarnia morska na urwisku brzegu. W powietrzu była cisza nie zmącona nawet pluskiem fali, z pobliskiego lasu leciały żywiczne zapachy, pomieszane z tchnieniem wilgotnej ziemi. W pewnej chwili pierwsze wesołe pokrzykiwanie nadleciało od pawilonu chłopców, a potem jak odzew cichsze głosy dziewcząt, dobiegły jakby z dalszej odległości. W tym momencie uświadomiłem sobie, że pierwsze spojrzenie dziesiątek, chłonnych młodych oczu, tuż po przebudzeniu padło na tę wspaniałą, żywą panoramę, która mnie oczarowała, że ten najdoskonalszy pejzaż był pierwszym pozdrowieniem, jakim je przywitał wstający dzień. I było mi dziwnie radośnie, że to czyste piękno zapada codziennie w dusze młodych kursistów. że kojarzy się w podświadomości z nauką i wysiłkiem, wkładanym w odnajdywanie zagubionych związków z narodem, że ojczysta przyroda bierze udział w tajemniczym procesie formowania ich dusz.

Dzięki temu chwile spędzone nad rudziskim jeziorem i dokonane przemiany wewnętrzne nabiorą dodatkowego blasku i ostrości. Słoneczna też będzie, mimo codziennej szarzyzny i przeciwności losu, Polska, objawiona tu po raz pierwszy mazurskim dzieciom, rozświetlona światłem, które w tym zakątku wyczarowuje zjawiska pełne nieziemskiej harmonii i uroków.

Oto wieczerza parą dymi,
oto kolędy słodki ton,
jesteśmy w domu między swymi
i na pasterkę wzywa dzwon.

Niestety, brak nas przy wieczerzy
i puste krzesło z tęsknot drwi,
a jednak — każdy z nas w to wierzy:
otworzą się wolności drzwi.

Teraz otarłszy łzę ukradkiem,
baczmy, co niesie jutra czas,
dziel się sercem jak opłatkiem
z tymi, co tam czekają nas.

A z oczu wielu słuchaczy, mocnych chłopów, którzy suchą powieką spotykali obelgi i okrucieństwa oprawców, kapały ze wzruszenia łzy, których się nikt nie wstydził. W rok później mówiłem ten sam wiersz w wigilię innym kolegom w sąsiednim polskim bloku. Ale głos miałem twardy i zrównoważony, bo zrodziła się we mnie pewność, że skorośmy najgorsze przetrwali — ci, co zostali przy życiu — nie załamiemy się do końca. Prócz tego nurtowała w mej podświadomości myśl, że wkrótce wyjdę na wolność. I tak się po miesiącu stało.

Nie zapomnę nigdy wstrząsającego przeżycia, kiedy mnie przypadło w udziale rozpętać potęgę żywiołu zamkniętego w niedoli. Było to już w drugim roku pobytu naszego w Oranienburgu, kiedy przetrwaliśmy najokropniejsze miesiące zaprawy potrafiliśmy się już na tyle ustabilizować, że w niektóre niedziele organizowaliśmy na bloku wieczory muzyczno - wokalne, na które przychodzili też koledzy z innych baraków, a później rewanżowali się nam podobnymi imprezami. Mój numer, to była recytacja wstępu do „Pana Tadeusza" i „Testamentu" Słowackiego. Czy mogłem przypuszczać, jaka magiczna siła mieści się w tym spowszedniałym zdaniu o Litwie - ojczyźnie, która jest „jak zdrowie", we frazesach tak obojętnie profanowanych przed wojną, przez liczne rzesze wkuwających się sztubaków? Wstaję — widzę przed sobą biało - niebieskie pasiaki, granatowe lub zielone mundury, czerwone trójkąty, numery i setki wlepionych we mnie oczu. Zaczynam. Opanowywałem wzruszenie, które znagła i nieoczekiwanie mną owłada, głos mi się załamuje, gdy dochodzą do słów „kto cię stracił" — i oto widzę, jak jeden z więźniów nagle chwyta się za serce i bezwładnie osuwa się z ławki na podłogę. Koledzy wynoszą omdlałego na świeże powietrze, a ja z trudem kończę rozpoczęty fragment. Był to ksiądz jakiś, jak się okazało, którego powaliły nieśmiertelne wiersze Mickiewicza.

A mój wieczór autorski, wieczór autorski w obozie, wieczór, który ze wszystkich, jakie na swej drodze literackiej miałem, najbardziej mnie poruszył, największą mi dał satysfakcję i najwdzięczniejszych słuchaczy. Mówiłem — oczywiście — z pamięci. Słuchali koledzy - nauczyciele, adwokaci, akademicy, słuchali robotnicy i chłopi, słuchali bracia Czesi, którzy przybyli z sąsiedniego bloku i specjalnie za zaproszenie na audycję dziękowali. Szczególnie pacyfistyczny, pełen humanitaryzmu wiersz „Nie zabijaj" wywołał zbyt wielkie zainteresowanie którego nawet konsekwencji zacząłem się obawiać. A w dzień mego zwolnienia z obozu w pośpiechu dyktowałem go koledze — Niemcowi z Łodzi, który koniecznie chciał go się nauczyć na pamięć

A książka w obozie. Książka polska, która tam cudem jakimś dotarła. Najpierw Chodźko: „Pamiętniki kwestarza". Ten skromny utwór, który dla nas stał się najświętszą relikwią polskości, wydzierany sobie z rąk do rąk, przechowywany i ukrywany z pietyzmem, aż przeszedł przez wszystkie ręce, by na innym bloku pełnić swe posłannictwo. A potem poezje Wasilewskiego. W tym drugim roku poczęliśmy w ogóle poczynać sobie śmielej. Boże Narodzenie uczciliśmy słuchowiskiem opartym na tle życia obozowego, przygotowanym przez kilku piszących kolegów, którzy przy uzgadnianiu całości nie bardzo chcieli się zgodzić na ustępstwa. A potem projekt antologii wierszy. Spotkałem taką u studentów czeskich. Gruby zeszyt zapisany pięknym, czytelnym charakterem, a w nim utwory Wolkera, Halasa, Zawady, Szramka, Nezwala i innych poetów. Pozazdrościliśmy tej pięknej pracy Czechom i zapragnęliśmy stworzyć coś podobnego u nas. Nie wiem, czy ten projekt doszedł do skutku, bo właśnie w tym czasie opuściłem mury obozu.

Ale zanim to nastąpiło, przeleżałem się po operacji cały miesiąc w szpitalu. Tu zetknąłem się z książką niemiecką. Z unieruchomioną w gipsie lewicą, w niewygodnej pozycji na wznak, przerzucałem zdrową ręką prawą kartki dzieła, które kazało mi całkowicie zapomnieć o otaczającej mnie rzeczywistości, jękach operowanych i utyskiwaniach wyzdrowieńców. Obcowałem z wielkimi duchami renesansu i z zapartym oddechem śledziłem żywot nieszczęsnego geniusza. Zdrowa, ożywcza kąpiel. Ale autor nie był Niemcem. Powieść „Leonardo da Vinci" napisał Mereżkowski.

A po dwóch tygodniach od rzeczywistych obrazów inferna obozowego i wymarzonych odrodzenia włoskiego wyszedłem za druty na świat szeroki, co w mroźnym tchnieniu lutowego wiatru wieścił bliski już renesans swojej wolności.

Paweł Hulka-Laskowski

We wtorek 29.10.46 w godzinach wieczornych zmarł nagle w Śląskim Szpitalu Krajowym w Cieszynie Paweł Hulka - Laskowski, wybitny publicysta, krytyk i tłumacz, czołowy pisarz i myśliciel współczesnego ewangelicyzmu polskiego, oraz wielki entuzjasta Śląska, zwłaszcza Cieszyńskiego. Wielkie ukochanie Śląska i troska o jego przyszłość każą nam stwierdzić, iż postać Zmarłego zrosła się na zawsze z tą ziemią, stając godnie obok innych działaczy, których nazwiska tworzą dzieje tej ziemi.

Paweł Hulka - Laskowski urodził się 25.6.1881 w Żyrardowie, jako syn Józefa i Elżbiety z Howorków. Młodość miał niewesołą. Ciężkie warunki bytu w środowisku proletariackim i pracę w fabryce od wczesnej młodości opisał po latach w swym pamiętniku. Usilną pracą nad sobą i samouctwem wybił się jednak ponad to środowisko i — jako jeden z niewielu — wybiera się na studia wyższe. Studiuje filozofię i religiologię na uniwersytecie w Heidelbergu (1903 — 1908), zwiedza trochę świata i osiada spowrotem w Żyrardowie, by swe siły, zdolności i zdobytą wiedzę poświęcić środowisku, z którego wyszedł. Organizuje kursa oświatowe, dokształcające i dla analfabetów, wykłada na nich, uczy robotników i nauczycieli — zaczyna pisać. W tym też czasie zapoznaje się z carskim więzieniem. Pierwszą wojnę z wszystkimi jej udrękami przeżywa jako działacz oświatowy w rodzinnym Żyrardowie. Po wojnie obejmuje na krótko miejsce referenta prasowego przy poselstwie polskim w Pradze czeskiej i znów wraca do rodzinnego Żyrardowa, do orki oświatowej i pisarskiej. Związany z klasą robotniczą, z której wyszedł i do której się zaliczał, czuł jak rzadko kto, jej poniewierkę i nędzę, a najwięcej ubolewał nad stosunkami w swym Żyrardowie kiedy kryzys gospodarczy i wyzysk obcego kapitału w latach międzywojennych przycisnął jego najbliższych. Sprawy te, to osobiste jego sprawy — nic więc dziwnego, że kiedy napisze pamiętnik („Mój Żyrardów", Warszawa 1934), to będzie to książka nie tylko z „życia pisarza", lecz także „z dziejów polskiego miasta", a raczej z dziejów jego nędzy.

Dorobek pisarski Hulki - Laskowskiego cechuje niezwykła szerokość zainteresowań. Najchętniej wypowiadał się w dziedzinie swej szeroko pomyślanej specjalności a więc w religiologii, filozofii i socjologii. Obok paru oddzielnych prac z tego zakresu („Zaratustra, twórca religii Iranu i jego nauka", 1914; „Matka Jezusa, matki bogów i królowe niebios", 1928, Od królestwa bożego do monarchii uniwersalnej", 1928) uprawiał głównie publicystykę religijną i religiologiczną, zasilając nią różne pisma nie katolickie. Stał się z czasem czołowym pisarzem i myślicielem ewangelicyzmu polskiego (Charakter kultury ewengelickiej, Ewangelicyzm polski i jego cele ideowe, Czym ewangelicyzm jest dla Polski i czym być powinien, Rola i zadania inteligencji ewangelickiej w naszym życiu religijno - kościelnym, Polska wierząca, Wileński Kościół Ewangelicko - Reformowany), jakkolwiek i inne pisma nie ewangelickie („Myśl niepodległa" Niemojewskiego, „Życie wolne" Minkiewicza, „Wolna Myśl Religijna", metodystyczny Pielgrzym Polski" i in.) zaliczały go w skład swych najlepszych współpracowników. Głośne były w swoim czasie jego artykuły w „Wiadomościach Literackich", gdzie zaczął (1927) od uwag o książce Zielińskiego „Hellenizm a judaizm". Z zainteresowań nad „Religią i religijnością w literaturze polskiej" (Wiad. Lit., 312) wyrosła z czasem jego antologia „Pięć wieków herezji" (Warszawa, 1939, S-ka Księg.-Wyd. „Słowo", stron 240). Są to wypisy z 48 pisarzy polskich od Ostroroga (1501) do T. Micińskiego, głoszących krytyczną myśl, religijną w literaturze polskiej i zwalczających konwencjonalizm i tradycjonalizm religijny. Do pisarzy tych należy również zaliczyć i Hulkę - Laskowskiego, którego dorobek pisarski w dziedzinie religii cechuje tą sama postawa moralna i krytyczna, jaką widzimy u pisarzy, uwzględnionych w antologii. Osobiste swoje stanowisko religijne wyłuszczył w autobiograficznej „Spowiedzi kalwina" (Wiad. Lit., 525). Tutaj stwierdzić możemy, że było w nim coś z reformatora, walczącego z zakłamaniem i domagającego się wolności sumienia i religii. Skądinąd wiemy, że żywił w sobie głęboką i żarliwą religijność, wypływającą przede wszystkim z nauki Chrystusa, a popartą własnymi doświadczeniami i przeżyciami religijnymi. Problem wyznaniowy, reformatorski, zaciążył również nad jego powieścią „Porucznik Regier" (Warszawa 1927, Głos. Ewang.). Obok momentów autobiograficznych i propagandowo-ideologicznych oraz aluzji, skierowanych zawsze w jedną i tę samą stronę, pojawia się już w tej powieści sentyment „śląski", który pochłonie go później całkowicie. Ustępy, poświęcone Śląskowi, a głównie polskiemu ewangelicyzmowi tutejszemu, to pierwsze bodajże zwiastuny serdecznego stosunku do ziemi, w której spocznie.

Osobny dział twórczości Hulki-Laskowskiego to praca tłumacza. Od niej rozpoczął jako młodzieniec, pracujący w fabryce żyrardowskiej, przekładając z czeskiego dla „Biblioteki Dzieł Wyborowych" opowiadania Svatopluka Czecha i Ignacego Hermana (1901—1902). Odejście Laskowskiego akurat do literatury czeskiej tłumaczy się atawizmem. Był przecie potomkiem wygnańców czeskich, którzy po nieszczęśliwym powstaniu przeciwko Ferdynandowi II musieli wyemigrować na początku XVII wieku. Wśród robotników fabrycznych odnajduje Czechów i od nich dowiaduje się różnych nowości o kraju swych przodków. Od nich pożycza książki, a z tej lektury młodzieńczej największe wrażenie robi na nim Machar. Próbuje tłumaczyć, a choć próba nie bardzo się udała (jak to stwierdzała „Chimera"), dwoma wymienionymi tomikami zainaugurował swoją działalność przekładową literatury czeskiej. która po latach stanie się poważną pozycją w jego działalności pisarskiej. Tłumaczył B. Niemcową (Babunia), Haszka (Przygody dobrego wojaka Szwejka), trylogię Karola Czapka (Hordubal, Meteor, Zwyczajne życie) — i ostatnio (1946) tegoż autora „Fabrykę absolutu". Przekładowe fragmenty Czapkowych „Rozmów z Masarykiem" świadczą, że i tę najciekawszą i najlepszą książkę o prez. Masaryku tłumaczył, lecz wydawcy widocznie nie znalazł, bo zresztą u nas popytu na literaturę czeską nie było. Próbował tłumaczyć także poezję, jak to wynika z przekładu jednej ballady Wolkera (w poznańskim „Dwutygodniku Literackim"), lecz tu ubiegli go inni (K. i S. Alberti oraz A. Fierla). Obok przekładów informuje społeczeństwo polskie o literaturze czeskiej (np. Rozwój literatury czeskiej, „Przegląd Warszawski", 1923, tom II, str. 296/318; Młoda proza czeska, „Wiad. Lit.", 1933, 508), zabiegi jednak o zbliżenie kulturalne między tymi dwoma narodami nie przynosiły — nie z jego winy — pożądanych owoców. Działalność przekładowa Hulki nie ogranicza się tylko do literatury czeskiej. Tłumaczy także rzeczy francuskie, rosyjskie, niemieckie, przyswajając piśmiennictwu polskiemu takie dzieła jak Sabatiera „Zycie św. Franciszka z Asyżu", Martina Roger du Garda „Les Thibaults", Mereżkowskiego „Napoleon", Böhma „Rokoko", Kretschmera „Ludzie genialni" i in. W „Wiadomościach Literackich" a przede wszystkim w „Nowej Książce" prowadził dział informacji i krytyki rzeczy obcych. Działalnością przekładową wspierał także w swoim czasie łódzki „Kompas", dostarczając mu tłumaczeń z zakresu piśmiennictwa religijnego i etycznego.

Trzecim działem, nacechowanym miłością i głęboką troską to jego twórczość „śląska". Śląsk Cieszyński poznał przelotnie prawdopodobnie w roku 1920, zatrzymując się tu w drodze do Czechosłowacji. W wrażeniach utrwalonych w „Poruczniku Regierze" znajdą się ciepłe momenty poświęcone tym stronom, a później znajomość i przyjaźń z takimi ludźmi jak Wantułowie, Kubiszowie, zachwyt wywołany „Pamiętnikiem starego nauczyciela" Jana Kubisza, bliższe poznanie Wisły i zetknięcie się z Zaolziem. To ostatnie napełniło jego serce goryczą. On, potomek wygnańców czeskich, demokrata z krwi i kości, niemianowany ambasador kultury czeskiej w Polsce, próbuje pośredniczyć w sporze, zabliźnić rany i stworzyć stan, by most na Olzie nie był przekleństwem. Mnóstwo artykułów i prac na ten temat, ukoronowane dziełem „Śląsk za Olzą" nie przyczyniło się do zgody — znów nie z jego winy, potęgując gorycz i troskę... „Śląsk za Olzą" (Katowice 1938, Instytut Śląski) ,to książka pisana sercem. Tyle w niej miłosnego spojrzenia, tyle nienasyconego zapatrzenia się w urok Ziemi Cieszyńskiej, tyle troski o jej szczęśliwszą przyszłość, że tej jednej książki starczyło, by zrozumieć, dlaczego serce pisarza tu przylgnęło i zostało. Mnóstwo w niej spraw i przykrych i pogodnych, a choć jest oskarżeniem, nie jest w niej nic z nienawiści. Kto zna n. p. „Pieśni śląskie" Bezrucza i śledzi pielgrzymkę Hulki jego tropami — ten najlepiej oceni uczucia, miotające poetą a z drugiej strony myśli wędrowca, który poecie wierzył, lecz w wierze swej się zawiódł. „Śląsk za Olzą" to dokument czasów przełomowych, nie tylko tych, które książkę podyktowały, chcąc w niej widzieć polityczne odbicie chwili, lecz i dawniejszych minionych... Książka utrwala polskość tej ziemi i jej ludu, przywodzi przed oczy jej piękno i przeszłość, przemawiając staropolską kulturą. Nasuwa się porównanie, że to coś w rodzaju „ostatniego zajazdu"...

Zetknięcie się Hulki ze Śląskiem i udział w jego sprawach związały go mocno z tą ziemią. Innych ludzi również Śląsk uczuciowo przyciąga a pomimo to stosunek ich do tego kraju wcale taki nie jest, jak to widzimy u autora „Żyrardowa". Tajemnicę przylgnięcia do tego skrawka ziemi tłumaczą częściowo takie momenty ze „Śląska za Olzą", jak myśli na przełęczy jabłonkowskiej, na cmentarzysku guciańskim lub Goduli, czyli po prostu pewna emanacja gór czy krajobrazu, tłumacząca stosunek do beskidzkiego krajobrazu i u innych ludzi, że wymienimy takich jak Fałat, Szajnocha...

Okupację niemiecką drugiej wojny światowej przeżył Laskowski w Żyrardowie. Niedawna książka jego, napisana w szpitalu, na temat wspomnień z tych lat niewoli i z dni wyzwolenia pt. „Księżyc nad Cieszynem" („Trybuna Robotnicza" i osobno: Katowice 1946, Wydawnictwo „Literatura Polska" str. 280) przedstawia sugestywnie tę udrękę i ponurość, w czasie której skołatanemu pisarzowi nie oszczędzono cierpień i prześladowań, m. in. także pobytu na „Pawiaku". Z książki tej bije także tęsknota za łagodnymi pagórami Cieszyńskiego, co wyraziło się choćby tytułem, boć przecie w książce samej nie wiele na tematy śląskie się pisze... Bezpośrednio po wojnie opuszcza Żyrardów, udając się w Cieszyńskie, by ratować nietęgie zdrowie, więzieniem i okupacją do reszty zniszczone. W szpitalu cieszyńskim znajduje przytułek, pomoc i opiekę, lecz zdrowie nie wraca. Pomimo to, czujny na wszystkie niedomagania nowej rzeczywistości, rozpoczyna żywą działalność pisarską o zasięgu, jak zawsze, szerokim. Śląska publicystyka tego okresu skupia się około dwu tematów: listy narodowej, w której widzi wielkie zło, powtórne zło rodzące — i Zaolzia... Apel „Bracia nasi za Olzą i bracia nasi Czesi" (Odrodzenie 1945, 35), wywołując wręcz przeciwne skutki, aniżeli te, które wolał, potęguje tylko gorycz i troskę. Okres powojenny, niezwykle pracowity pomimo ciężkiej choroby, kończy się jednak katastrofą. Nagły zgon wytrąca pisarzowi pióro, nie pozwalając mu wykończyć dawno już planowanych i troskliwie przygotowanych dzieł o św. Pawle, Catullusie, i innych. Zgodnie z wyrażonym życzeniem spoczął wśród pagórków Ziemi Cieszyńskiej, którą ukochał nad inne.

Ludwik Brożek

Odra w geografii Polski

Maria Kiełczewska: O podstawy geograficzne Polski. Z 16 mapkami. (Prace Instytutu Zachodniego nr 10) Poznań, 1946. Str. 146.

Z zaciekawieniem bierzemy do rąk pracę młodej profesorki uniwersytetu M. Kopernika w Toruniu, pracę, stanowiącą pierwsze obszerne ujęcie podstaw geograficznych powojennej Polski. I stwierdzamy, że to dzieło bardzo poważne, oparte na doskonałym opanowaniu polskiej literatury geograficznej, ale w większej jeszcze mierze na wielostronnym przemyśleniu elementów sytuacji geograficznej Polski i wynikających stąd konsekwencyj. Autorka, wychodząc od rozpatrzenia różnych dotychczasowych definicyj geograficznych Polski, zatrzymuje się dłużej nad pojęciem „Polski Macierzystej" obejmującej ziemie w dorzeczu Wisły i Odry, a więc pokrywającej się mniej więcej z dzisiejszymi granicami Polski. Po podkreśleniu zwartości tego terytorium i jego naturalnych powiązań zarówno w kierunku zachodnim, jak i wschodnim, autorka rzuca na tło geograficzne najważniejsze zmiany granic Polski w ciągu dziejów, tłumacząc zarówno cofanie się tych granic na zachodzie, jak i ekspansję ku wschodowi w oparciu o fakty geograficzne.

Rozdział VI (Polska wczoraj i dziś) stanowi interesujące porównanie Polski przedwojennej i obecnej z oceną położenia geograficznego i politycznego w obu wypadkach. Porównanie to wypada zdecydowanie na korzyść Polski dzisiejszej, pod warunkiem oczywiście, że cały obszar dzisiejszej Polski będzie równocześnie obszarem zasiedlenia narodu polskiego, do czego słusznie dąży polityka państwowa i wola całego narodu.

Dalsze rozdziały zajmują się już bliżej obszarem dzisiejszej Polski, dając naprzód próbę podkreślenia roli geograficznych linij przewodnich w jej granicach, a następnie dokładniejszą charakterystykę i próbę oceny znaczenia Ziem Odzyskanych (Wielkiego Pomorza, Wielkopolski i Śląska) w nowej Polsce.

Ostatnie rozdziały poświęcone są przeglądowi naturalnych ciążeń i kierunków komunikacyjnych, wyłaniających się w obecnym układzie granic Polski, przy czym autorka zastanawia się bliżej nad prawdopodobnymi możliwościami rozwojowymi naszych miast. W zakończeniu stwierdza raz jeszcze, że obszar Odry i Wisły jest właśnie tym regionem, z którego naród polski wycofać się nie może bez utraty trwałych podstaw rozwojowych dla swego państwa.

Książka odznacza się wysokim poziomem naukowym i dojrzałością myśli, a choć może nie dla każdego laika będzie łatwą w czytaniu, zasługuje na szerokie rozpowszechnienie. Zapoznać się z nią powinni — poza geografami — szczególnie wszyscy, mający do czynienia z planowaniem gospodarczym i przestrzennym, gdyż daje zasadnicze rysy naturalnej podbudowy dla planowania w skali państwowej. W literaturze geograficznej o Polsce będzie to dzieło o trwałej wartości.

Do poprawienia w następnym wydaniu należałoby parę drobnych usterek stylistycznych (np. „morze śródziemnomorskie" na str. 38) czy niedopatrzeń w druku (wysunięcie Sudetów ku południowemu zachodowi, zamiast ku północnemu zachodowi na str. 92, zmelioryzowanie zamiast zmeliorowanie na str. 93 itp.).

Antoni Wrzosek.

Dr Maria Czekańska: Z biegiem Odry. Wydawnictwo Zachodnie, Poznań 1946. Str. 132, 22 ilustracje i mapka.

Miła, na dobrym papierze i w ładnej formie zewnętrznej wydana książeczka dr Czekańskiej jest pierwszym popularnie ujętym opisem geograficznym naszych ziem zachodnich. Zawiera kolejno dość obszerny opis Śląska (70 stron), a dalej Ziemi Lubuskiej i Pomorza Zachodniego, końcowy rozdział poświęcony jest charakterystyce Odry i przeglądowi administracyjnemu ziem zachodnich.

Główna wartość książeczki, to przystępne ujęcie, łatwy, a przy tym ładny styl i zręczne powiązanie wiadomości naukowych z myślami wychowawczymi, cytatami z literatury pięknej itp. Wszystko to czyni pracę lekko strawną, może jej zapewnić poczytność w najszerszych kołach, a co za tym idzie oddać olbrzymie usługi dla rozszerzenia znajomości ziem zachodnich w całym kraju. To też praca ta została słusznie nagrodzona na ogólnopolskim konkursie Polskiego Związku Zachodniego.

Z punktu widzenia fachowego książka błędów nie zawiera, nieliczne drobne omyłki nie odgrywają roli w pracy tego typu, a jeżeli jaki zarzut można jej postawić, to zbyt słabe uwzględnienie wielkich zmian, jakie się na ziemiach zachodnich dokonały w ciągu naszego półtorarocznego już nimi władania. Rozumiemy, że zmiany te trudno jest uchwycić w całości z powodu zbyt szczupłych jeszcze i trudno dostępnych źródeł, tym bardziej, że książka była prawdopodobnie pisana przed kilku miesiącami, kiedy o te źródła było jeszcze trudniej. Wypada jednak podkreślić, że w przyszłości jakikolwiek opis ziem zachodnich bez uwzględnienia stanu zniszczeń wojennych miast i wsi, zmian zaszłych w układzie ludnościowym i narodowościowym, a także obecnych stosunków w rolnictwie i całym życiu gospodarczym byłby już nie na miejscu.

Antoni Wrzosek.

Sprawy teatru

Teatr w Olsztynie

„Ojciec" A. Strindberga w Teatrze Miejskim im. Stefana Jaracza

Jak już donosiliśmy Teatr im. Stefana Jaracza rozpoczął nowy sezon teatralny wystawieniem „Ojca" Strindberga w reżyserii i z udziałem Karola Adwentowicza.

Teatr, który jak to ma miejsce w Olsztynie, jest teatrem upowszechnionym, teatrem dla wszystkich, nie z natury rzeczy sięgać do tak zwanego wielkiego repertuaru.

To też pomijając istniejącą już pewną archaiczność problematyki „Ojca" i w naszych czasach co najmniej przebrzmiałą formę „walki płci" — wybór tego dramatu, chociażby ze względu na wielką kreację Karola Adwentowicza (rotmistrz) należy uznać za właściwy.

Karol Adwentowicz jest bodajże jedynym w tej chwili odtwórcą tej roli. Daje też prawdziwy koncert gry aktorskiej, trzymając widza w nieustannym napięciu. Sceny zwłaszcza drugiego i trzeciego aktu pozostają na długo w pamięci. Dzielnie sekundowała mu utalentowana Julia Kossowska, z umiarkowaniem i dużą wiernością psychologiczną grając rolę Laury i istotnie do „Laurów" ubiegłego sezonu przysparzając sobie nowy i zupełnie zasłużony. Nowo zaangażowana Danuta Urbanowiczówna dobrze wywiązała się z roli Berty, dając wyrazistą postać dziewczęcia miotanego sprzecznymi uczuciami. Sądzimy, że z młodziutkiej wykonawczyni będzie już wkrótce dobra siła aktorska. Rolę pastora pełną ciepłych, serdecznych nut odegrał dyr. Stanisław Wolicki, wkładając w nią duży zasób talentu i serca. W roli doktora wystąpił młody i bardzo obiecujący aktor Wacław Zadroziński, ciesząc się już dziś dużą popularnością.

Starą Malgorzatę bez zarzutu wykonała Mira Wiland. Dobry był Filip Kuligowski w roli Nojda. „Ojciec" obecnie schodzi już, w pełni powodzenia, z afisza, ustępując miejsca komedii Romana Niewiarowicza „Ich dwóch".

Zygmunt Abramowicz.

„Ich dwóch" Romana Niewiarowicza w Teatrze Miejskim im. Stefana Jaracza

Po „Ojcu" Strindberga, o czym piszemy obok, na afiszu olsztyńskiego teatru weszła poprzedzona wieściami o powodzeniu w Krakowie — i gdzie indziej — komedia Niewiarowicza „Ich dwóch".

Wycinek z życia pt. „Ich dwóch" aczkolwiek może w pewnych momentach jest nie tyle nieprawdopodobny ile raczej „paradoksalny", pozwala widzowi wyjść po spektaklu z uśmiechniętą twarzą.

I na tym, naszym zdaniem, polega wartość tego widowiska, wartość „Ich dwóch". Teraz słów parę o wykonaniu i wykonawcach.

A więc: Bohaterowie (lekarz Bogdan) Marian Boguslawski i (Florek szofer) Wacław Zadroziński, obaj dali zwarte i pełne umiaru sylwetki sceniczne. Dyr. Wolicki w roli prezesa bardzo ubawił salę. Zagwojski poprawnie odegrał młodego amanta. Tytułową rolę kobiecą Krystyny (Znajda), wykonała Danuta Urbanowicz, należycie podkreślając zasadnicze cechy odtwarzanego typu.

Wyreżyserował „Ich dwóch" Filip Kuligowski pomysłowo i w rekordowym tempie, co w warunkach olsztyńskiego zespołu nie jest zadaniem łatwym. Dobre dekoracje dał Leon Grajewski.

Sztuka ustępuje miejsca „SKIZ-owi" G. Zapolskiej w wykonaniu przybywającego na parę gościnnych występów zespołu z Mieczysławą Ćwiklińską na czele.

Zygmunt Abramowicz.

Toruń wystawił „Orfeusza"

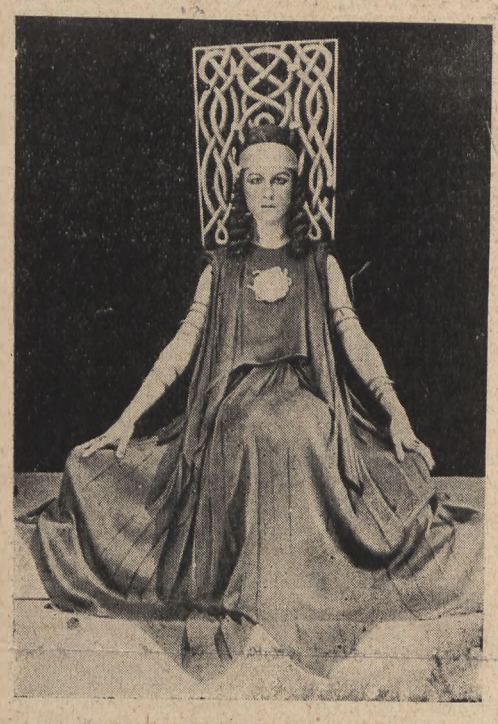

Ziemie Zachodnie odgrywają coraz donioślejszą rolę w polskim życiu teatralnym. Niemal równocześnie ze świetnym przedstawieniem „Męża i żony" w teatrze katowickim, o którym pisała już „Odra" w jednym z ostatnich numerów, wystawił w Toruniu dyr. Wilam Horzyca niepospolitą sztukę Anny Świrszczyńskiej „Orfeusz". Sztuka ta otrzymała w okresie okupacji nagrodę na konspiracyjnym konkursie dramatycznym, którego jury stanowili m. in. Iwo Gall, prof. Julian Krzyżanowski i Bohdan Korzeniewski.

Horzyca już w sezonie ubiegłym zorganizował dwie polskie prapremiery: „Promienistych" Grzybowskiej i „Starą cegielnię" Iwaszkiewicza. Obecnie zagrał pierwszy w Polsce utwór, którego dojrzałość i głębia są uderzające. „Orfeusz" należy do tych kilku utworów naszej nowej literatury dramatycznej, które stanowią dowód żywiołości tego gatunku, rozwijającego się w najcięższych warunkach. Język precyzyjny zarazem i obrazowy, śmiała i wzorowa konstrukcja, zamyślenie nad podstawowymi sprawami życia, to wszystko pozwala przypuszczać, że „Orfeusz" mógłby zdobyć uznanie także i zagranicą.

Ponieważ w najbliższym czasie dyr. Iwo Gall wystawia w Gdyni piękny utwór Tadeusza Gaycy'ego „Homer i Orchidea" — można śmiało powiedzieć, że Ziemie Zachodnie stają się potężnym ośrodkiem twórczym polskiego życia teatralnego.

W. N.

„Traviata" w Wrocławiu

Opera Dolnośląska: „Traviata". Opera w 4 aktach G. Verdiego. Premiera we Wrocławiu 16. 10. 1946.

Traviatę napisał Verdi w pierwszym okresie swojej twórczości, kiedy jeszcze dzieła R. Wagnera nie wywarły decydującego wpływu na kompozycje włoskiego mistrza. Muzyka Traviaty jest naiwna i pretensjonalna, nie ma zwartości i monumentalności Aidy, ani finezyjności i głębokiej filozofii Falstaffa, mimo to przyciąga słuchacza słodyczą harmonii i nadzwyczajnym bogactwem melodii. Dzięki tym zaletom Traviata będzie zawsze pewną pozycją repertuarową każdego teatru operowego. Nie osłabi jej powodzenia nawet libretto (bolączka zresztą większości oper). Libretto, oparte wprawdzie na słynnej powieści, niemniej ckliwo-makabryczne, pełne łez, suchotniczego kaszlu, naszpikowane bezsensownymi odezwaniami się chóru, powtarzającego najczęściej w kółko jakieś okropne frazesy, w jeszcze okropniejszej polszczyźnie. (Kiedy znajdzie się jakiś tłumacz-reformator libretu operowych? Czas by o tym pomyśleć!).

W Operze Dolnośląskiej znalazła Traviata bardzo piękną oprawę sceniczną. Stylowe, pełne przestrzeni **dekoracje Jędrzejewskiego i Langego** (najsilniejszy punkt spektaklu), barwne stroje, żywy, czysto śpiewający chór i przyjemny **balet układu Patkowskiego.** Orkiestra **pod batutą** kapelmistrza **Bończy-Tomaszewskiego** na ogół zadowoliła. Zastrzeżenie budziły tylko zbyt wolne tempa, szczególnie rażące w ensemblowej scenie I aktu (aria na 3/8 z towarzyszeniem chóru „Więc pijmy") i w arii Traviaty „Zawsze wolna" (która jest przecież napisana w „Allegro brilante" a nie w „Andante"!).

Wykonawczyni tytułowej roli p. **Dunka Sleczkowska** dysponuje dobrze szkolonym koloraturowym sopranem o pięknie brzmiących górnych partiach. Powinna się jedynie wyzbyć nie miłej maniery głośnego wydechu na końcu frazy. **Władysław Szeptycki** — Alfred śpiewa lekko i znać u niego znaczną poprawę w emisji głosu, przeszkadza sobie tylko zbytnią gestykulacją. Najlepszym z czołowej trójki, tak pod względem głosowym, jak i aktorsko, był Jerzy Germont w wykonaniu młodego lirycznego barytona **M. Woźniczki.** Wykonawcy pozostałych ról poprawni. **Reżyserja Jana Popiela** dobra, ale nie wiele odbiegająca od szablonu.

Z przyjemnością należy stwierdzić ciągłą poprawę poziomu Dolnośląskiej Opery, co jest niezaprzeczoną zasługą niestrudzonego dyrektora **Stanisława Drabika.**

Wojciech Dzieduszycki

Tydzień Katowic

TYDZIEŃ KATOWIC 23. X. — 30. X. 46 r.

ŻYCIE LITERACKIE

24. X. Z inicjatywy Zw. Zaw. Literatów zorganizowany został komitet redakcyjny, którego zadaniem będzie opracowanie rocznika Kultury Śląskiej za rok 1945 — 1946. Wydawnictwo ukaże się jako specjalny numer „Zarania Śląskiego".

28. X. W ramach VI-go wieczoru Klubu Literackiego Aleksander Baumgardten wygłosił prelekcję pt. „Film polski w impasie". W dyskusji zabrał głos między innymi, specjalnie na wieczór przybyły, przedstawiciel „Filmu Polskiego", dyr. Bossak.

30. X. Na zaproszenie Zw. Zaw. Literatów, red. Dienstl-Dąbrowa wygłosił w Instytucie Śląskim odczyt pt. „Życie kulturalne Londynu w czasie wojny".

ŻYCIE MUZYCZNE

27. X. W sali Filharmonii odbył się III koncert popularny. Wykonane zostały następujące utwory: I Suita Peer-Gynt — Griega, tegoż kompozytora koncert fortepianowy a-moll, Sibeliusa poemat symfoniczny „Opowieść" i suita Pelgrena. Solistką koncertu była pianistka Alina Januszewska.

27. X. na poranku orkiestry symfonicznej Polskiego Radia wykonano: fragmenty serenady a-dur op. II Brahmsa, koncert skrzypcowy e-dur J. S. Bacha i Pastorale Artura Honeggera. Orkiestrą dyrygował Włodzimierz Ormicki, solistą koncertu był Józef Salacz (skrzypce).

28. X. odbyła się katowicka (po bytomskiej z dnia 26. X.) premiera opery Bizeta „Carmen". Partię tytułową śpiewają Denis-Słoniewska na zmianę z J. Hupertową. Orkiestrą dyryguje Jerzy Silich. Dekoracje Stanisława Jarockiego. Reżyseruje Adolf Popławski. Opracowanie choreograficzne J. Miszczyka.

CHOREOGRAFIA

29. X. odbył się pierwszy z kilku zapowiedzianych gościnnych występów baletu Parnella.

ODCZYTY, ZEBRANIA

25. X. Redaktor Dienstl-Dąbrowa wygłosił odczyt pt. „Zygzaki historii". Prelekcja została kilkakrotnie powtórzona w dniach następnych.

25. X. w Związku Zawodowym Polskich Artystów Plastyków odbyło się zebranie przedstawicieli Związków Artystycznych i prasy z terenu Katowic. Celem zebrania było nawiązanie ściślejszego kontaktu z prasą. Po dyskusji postanowiono zwrócić się listownie do redakcji wszystkich pism katowickich z prośbą o większe zainteresowanie się przejawami życia kulturalnego na Śląsku.

M. M.

Czas
odnowić prenumeratę
„ODRY"

Kronika kulturalna Ziem Odzyskanych

Szczecin

MUZEA I OCHRONA ZABYTKÓW

W Kołobrzegu dokonano dalszych poszukiwań w skarbcu Ratusza z wynikiem dodatnim. Dobrze przedstawia się też stan Muzeum w Białogardzie. Muzeum to będzie wkrótce otwarte dla publiczności. Najwięcej jednak sensacji wywołały odkrycia dokonane w Zamku Piastowskim w Szczecinie. Mianowicie w czasie prac renowacyjnych w Zamku, przeprowadzonych pod kierownictwem Komisji Konserwatorskiej natrafiono na podziemną kryptę, zawierającą **kilkanaście trumien z prochami książąt szczecińskich,** zmarłych po r. 1600. Zwłoki z resztkami szat zachowały się na ogół dobrze. Większość z nich znajduje się w bogato ornamentowanych ołowianych i dębowych trumnach. Część drewnianych trumien jest uszkodzona i zbutwiała.

Jak ustalono na podstawie dokumentów, Niemcy w r. 1860 dokonali otwarcia trumien, i obrabowali je z wszelkich cennych i zabytkowych precjozów. Obecnie członkowie Komisji konserwatorskiej wspólnie z miejscowymi historykami przystąpili do badań, mających na celu ustalenie tożsamości książąt szczecińskich.

Za podstawę badań posłużą herby na trumnach oraz dokumenty znajdujące się w Muzeum Miejskim. Po przeprowadzeniu tych prac trumny z prochami książęcymi zostaną złożone w remontowanej obecnie kaplicy Zamku Piastowskiego. Warto nadmienić, że składnica zabytków w Szczecinie posiada już ponad 1000 pozycyj. (ts)

Olsztyn

POMNIK MIKOŁAJA KOPERNIKA W OLSZTYNIE

Obok pomnika ku czci poległych za Polskę bojowników warmijskich i mazurskich oraz pomnika Stefana Jaracza stanął w Olsztynie dzięki staraniom wojewody dr Z. Robla trzeci pomnik — popiersie brązowe Mikołaja Kopernika, który jest ustawiony na placu koło zamku olsztyńskiego, gdzie Kopernik mieszkał i bronił Olsztyna przed Krzyżakami. Moment odsłonięcia pomnika został wybrany w 430 rocznicę pobytu Kopernika w Olsztynie. **(j. ant.)**

NOWY SEZON TEATRALNY W OLSZTYNIE

Po okresie „ogórkowym", w czasie którego śpiewała w Olsztynie Ewa Bandrowska-Turska oraz miał występy gościnne zespół baletowy Parnella jak i teatr przybyły z Ełka ze sztuką „Dom otwarty" Bałuckiego, która była wystawiona na bardzo wysokim poziomie i cieszyła się dużym powodzeniem, nastąpiło w dniu 3 października otwarcie nowego sezonu teatralnego w Teatrze Miejskim im. St. Jaracza sztuką A. Strindberga pt. „Ojciec" z Karolem Adwentowiczem w roli tytułowej. Adwentowicz w sztuce powyższej nie zawiódł publiczności olsztyńskiej i rozwiał czarne obawy miłośników sztuki teatralnej, którzy sądzili, że po odejściu Kurnakowicza i Surzyńskiego obniży się poziom sceny olsztyńskiej. Sztuka wystawiona w Olsztynie dała publiczności olsztyńskiej wiele niezwykle pozytywnych przeżyć artystycznych tym bardziej, że prócz Adwentowicza wystąpili w dalszych rolach znani już publiczności olsztyńskiej artyści jak: J. Kossowska, M. Wiland, D. Urbanowicz, S. Wolicki, F. Kuligowski i inni. **(j. ant.)**

SEZON KONCERTOWY W OLSZTYNIE

Oprócz Ewy Bandrowskiej-Turskiej niedawno wystąpiła w Olsztynie Barbara Kostrzewska oraz w sali kina „Polonia" Aniela Szlemińska niezrównana w odtwarzaniu pieśni ludowych. Ta ostatnia zainaugurowała sezon koncertowy w Olsztynie, który organizuje Biuro Koncertowe i olsztyńskie Towarzystwo Muzyczne, których zadaniem jest szerzenie kultury muzycznej na terenie województwa olsztyńskiego. W przyszłości przewidziany jest koncert Kwartetu Polskiego z Poznania oraz koncert poświęcony twórczości Feliksa Nowowiejskiego z udziałem jego synów oraz primadonny Opery Poznańskiej Zofji Fedyczkowskiej. Koncerty te odbywać się będą w odstępach co dwa tygodnie. Prócz tego przewidziany jest przyjazd szeregu młodych sił jak śpiewaczka Drewniakówna, Wiesława Ćwiklińska itd.

Niezależnie od koncertów powyższych Towarzystwo Muzyczne będzie kontynuowało wieczory literacko-muzyczne w swym lokalu przy ul. Nowowiejskiej pod nazwą „środy literacko-muzyczne" o urozmaiconym programie, na które złożą się w programach partie muzyki poważnej oraz literackie odczyty oraz wieczory poezji deklamowanej przez wybitnych recytatorów. Prócz tego w ramach „środ" odbywać się będą popisy i produkcje uczniów olsztyńskiej Szkoły Muzycznej. **(j. ant.)**

DWA CIEKAWE ODCZYTY

Prof. dr K. Górski z Torunia wygłosił w Olsztynie oraz paru większych miastach województwa ciekawy odczyt pt. „Mazury w XX wieku", który urządził Polski Związek Zachodni.

Jednocześnie członek „Instytutu Mazurskiego" P. Sowa wygłosił ciekawy odczyt na temat: „Walka o polskość na Mazurach i Warmii w świetle tajnych dokumentów niemieckich". Odczyt ten był wygłoszony na marginesie pracy, którą autor przygotowuje do druku dla „Instytutu Mazurskiego" w Olsztynie. Jak należy się spodziewać, praca autochtona P. Sowy przyniesie szereg rewelacyjnych danych o metodach germanizacyjnych Niemców w stosunku do ludności autochtonicznej. **(j. ant.)**

Wrocław

WE WROCŁAWIU O LOMPIE

Wrocławskie Koło Literackie przekroczywszy jubileuszową cyfrę 25-ciu swoich „czwartków", poświęciło niedawną tego rodzaju imprezę przypomnieniu i nowemu oświetleniu niezwykłej postaci śląskiego działacza społeczno-narodowego, Józefa Lompy. Oświetlenia tego dokonała wybitna historyczka wychowania i oświaty ludowej dr Janina Ender. Autorka szeregu prac z zakresu swej specjalności, która dawno przed wojną zdecydowanie wypowiadała się m. in. w tak dziś aktualnej sprawie jak los Łużyc, opracowuje obecnie obszerną monografię Lompy i zamierza ją wydać w 10-tą rocznicę jego urodzin, przypadającą w r. 1947.

W ramach swej pracy dr Ender jako pierwsza spośród dotychczasowych monografów Lompy prowadzi poszukiwania archiwalne, przy czym dotarła do odpowiednich materiałów znajdujących się w Zbiorach Archidiecezjalnych we Wrocławiu, materiałów dobitnie charakteryzujących 33-letni okres działalności nauczycielskiej śląskiego społecznika.

Na XXVI wrocławskim czwartku literackim dr Ender ukazała słuchaczom najważniejsze cechy osobowości i koleje życia Lompy — budziciela świadomości narodowej wśród Ślązaków Opolskich w latach około połowy XIX wieku, w epoce posługania ks. Szafranka, walczącego w sejmie pruskim o prawo odrębności językowej Śląska.

Z żywością wynikającą z entuzjastycznego stosunku do przedmiotu swych badań prelegentka przedstawiła ogrom trudu i ofiarności człowieka, który będąc przez kilkadziesiąt lat pisarzem, nauczycielem, tłumaczem i organistą, przy niesłychanym nawale zajęć bezustannie bronił chłopów śląskich przed wyzyskiem ze strony niemieckich właścicieli ziemskich i przed zanikiem poczucia przynależności narodowej. Zsumowała wszechstronny dorobek pisarski Lompy, obejmujący pozycje od prac ludoznawczych (zbiory podań, zapisy gwary), poprzez utwory religijne, poetyckie, aż do praktycznych podręczników szkolnych i poradników rolniczych. Szczególniejszą uwagę skierowała na fakt, że Lompa był właściwie pierwszym w Polsce autorem popularyzującym, piszącym specjalnie dla warstw wówczas niewykształconych i dla dzieci, a jego geografia Śląska może dziś stanowić znakomite źródło materiału do odtwarzania polskich nazw tych okolic.

Kończąc swą wypowiedź obrazem krańcowej nędzy materialnej, w jakiej działacz spędził ostatni okres swego życia, prelegentka użyła jako pointy jego własnych słów opartych na swoistej aluzji do nazwiska: „Lompa (lampa) nie zgasła, choć skąpo jej oleju dotewano." **(t. lut.)**

Patrzymy na ekran

W ciągu bieżącego miesiąca wejdzie na nasze ekrany jeden z najlepszych filmów artystycznych świata. Będzie to obraz produkcji francuskiej, wspólne dzieło najwybitniejszego francuskiego reżysera Marcela Carne oraz artystów tej miary, co: Jean-Louis Barrault, Pierre Renoit i Pierre Brasseur. Nie tylko jednak wielkie nazwiska realizatorów, nie tylko entuzjastyczne przyjęcie z jakim spotkał się ten film na ekranach świata a przede wszystkim — w wymagającej wiele Francji świadczą o wysokiej jakości tego obrazu, ale przede wszystkim sam film jest skończonym dziełem sztuki.

Tytuł tego arcydzieła to: „Komedianci".

Całość filmu składa się z dwóch części (seryj). Pierwsza nosi tytuł „Ulica złoczyńców", druga zaś „Miłość pajaca".

Marcela Carne znamy już dobrze: przed polskimi widzami wylegitymował się już wystarczająco swoimi przedwojennymi obrazami: „Ludzie za mgłą". Te jednak jego walory, które w „Ludziach za mgłą" wykazały tylko nowatorstwo w potraktowaniu dosyć niewdzięcznego podówczas tworzywa filmowego (przypomnijmy statyczność sytuacji i zamknięty, „zamglony" klimat francuskiego portu nad Atlantykiem) — tym razem hypnotyzują nas dosłownie, olbrzymią, poetycką swobodą z jaką Carne traktuje nie tylko scenariusz, ale i dekoracje, słowo wypowiadane, twarz aktora, tłum, walkę, miłość — jednym słowem wszystko. Cały film aż drży od nieustannego zawrotnego nurtu akcji. Cały film jest symbolem ruchu a pamiętajmy, że właśnie ruch jest symbolem kina. Co za piekielna pasja miota tymi ludźmi, wydarzeniami, całą wreszcie ulicą Złoczyńców? Z jakąż nieludzką wirtuozerią przerzucała genialna ręka twórcy filmu — zakurzone, niedokochane ludzkie szpargały, by je wywołać na świat, by je podać nie widzącym oczom ludzkim, by je podnieść do godności problemu. Kto z nas wie ile krwi, poniżenia, zdrady, tęsknoty czy nienawiści mieści się w zwyczajnej grudzie wielkomiejskiego błota? Genialna r ó w n o c z e s n o ś ć tych zjawisk, z zupełną pogardą dla ich hierarchii, oto jedna z tajemnic powodzenia tego niezwykłego filmu. Bo oto utalentowany nędzotą, pantomimik, zwyczajnym kopniakiem zdobywa sobie szacunek całej spelunki podmiejskiej, po to, by za chwilę zostać okrutnie wydrwionym przez los w postaci przyjaciela, który za ścianą zdobywa serce jego ukochanej. Ta sama ukochana podziwia wykolejonego pisarza publicznego o duszy anarchisty a oczach mordercy, kocha, bez zobowiązań lunatycznego marzyciela, depce serca zakochanych książątek, poto tylko, by oddać się prawie nieznajomemu aktorzynie, którego gadanina ją nudzi. Prawdopodobnie zresztą, ulegla, by nie słyszeć zbyt wielu słów na tak zwykły temat. Tak wygląda dla przykładu parę minut, wykrojonych z filmu „Komedianci".

Film — podkreślamy jeszcze raz — genialny. Co zaś do głównych kreacyj aktorskich (zwłaszcza Barrault w roli pantomimika), to uważamy, że wszystkie zespoły aktorskie w Polsce powinny film ten zobaczyć. Hurtem i w detalach. A potem — samotnie i zbiorowo przemyśleć każdą z ról w „Komediantach". Nawet najdrobniejszą.

Alba.

WYDAWNICTWO
„POLIGRAFIKA"
ŁÓDŹ, Sienkiewicza 18. Tel. 180-22

POLECA OSTATNIE NOWOŚCI:

Hertz i Rojewski:
Z naszej loży. Humoreski. Okł. barwna proj. R. Szałasa. Format A5. Str. 176 zł 200

Czerwiński M. i Paczkowski M.
Warszawa bohaterska. — 1939—1945. Antologia poezji i prozy. Okładka i obwoluta projek. R. Szałasa. Rys. i zdobniki A. Puchalskiego. Form. B5. Str. 192 zł 300

Piotrowski Jan:
Ojciec cudzych dzieci. — Wspomnienia o „Starym Doktorze" Januszu Korczaku. Okł. proj. P. Świątkowskiego. — Format A5. Str. 56 . . . . . zł 70

Sojecki S. i Stefański S.:
Ściany mają uszy. Powieść faktomontaż. Okł. proj. P. Świątkowskiego. Form. A5. Str. 272 . . . . . zł 300

Słomczyńska Jadwiga:
Maria Konopnicka. Życie i twórczość. — Z portretem poetki. Okładka barwna proj. R. Szałasa. Form. A5. Str. 288 . . . . . zł 300

Słonimski Antoni:
Literatura na emigracji. Antologia „Nowej Polski". Wielobarwna okładka i obwoluta proj. R. Szałasa. Format B5. Str. 384. . . zł 550

Wells H. G.:
Jutro ludzkości. Konieczność reorganizacji świata. Fragment z ostatn. książki H. G. Wellsa „Sfinks". Format B5. Str. 32 . . . zł 40

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH 91

Glossy i notatki

Zawsze inaczej

Inaczej i gorzej. Kiedy do Łodzi wróciła laureatka konkursu genewskiego, młoda, utalentowana skrzypaczka Wiłkomirska, zgotowano jej owacyjne powitanie. W kilka dni po powrocie skrzypaczka wystąpiła jako solistka w koncercie Filharmonii Łódzkiej. Koncert był transmitowany przez Polskie Radio na antenie ogólnopolskiej. Wedle słów sprawozdawcy radiowego Wiłkomirską zarzucono kwiatami.

Kiedy wróciła do Katowic druga laureatka tegoż konkursu Irena Lewińska, nikt jej nie witał i nikt nie pomyślał o tym, by umożliwić melomanom katowickim usłyszenie śpiewaczki. A przecież mamy i Filharmonię i Konserwatorium i Biuro Koncertowe.

Niechęć, zawiść, niezaradność?

Natomiast kiedy wrócili piłkarze ze Szkocji . . . (daj im Boże więcej podobnych sukcesów — nie wspominam o tym przez złośliwość, tylko dla porównania) cóż to się nie działo. Knajpy urządziły zawody: która pierwsza dopadnie triumfatorów i zaprosi na kawę (tak to się nazywa). Radio aż ochrypło ze wzruszenia. To wszystko dlatego, że, jak się wyraził jeden z dziennikarzy w pewnej dyskusji, sport jest ważniejszy niż teatr czy muzyka, bo na mecz piłkarski idzie 50.000 widzów, a na koncercie Filharmonia zmieścić może w swych murach 800 słuchaczy. („Mała Scena" — tylko 120).

W Katowicach zawsze inaczej. Inaczej i gorzej. Gorzej niż gorzej, bo głupio. **(m)**

Wśród czasopism

Okazało się, że miałem rację, nie chcąc żegnać „KAMENY", o której dłuższym życiu, zdarzało się, wątpił sam redaktor Kazimierz Andrzej Jaworski. Bo oto nagle ukazał się stustronicowy zeszyt tego miesięcznika, poświęcony Aleksandrowi Błokowi w dwudziestopiątą rocznicę śmierci. Jest to wprawdzie **numer potrójny (8—10), ale stanowi niezwykle cenną pozycję nie tylko w siedmiu rocznikach „Kameny', lecz także wśród naszych wydawnictw literackich.** Można go uznać za małą antologię twórczości Aleksandra Błoka, uzupełnioną kilkoma omówieniami krytycznymi i biograficznymi, wśród których wyróżniają się trzy przedruki essayów Franciszka Siedleckiego. Zamieszczone tu przekłady obejmują wszystkie okresy twórczości poetyckiej Błoka, począwszy od mistyczno-symbolicznych tomów „Ante lucem" i „Wiersze o pięknej Pani" (1898—1902) a skończywszy na rewolucyjnym poemacie „Dwunastu" i wierszu „Scytowie" (1918). Największy udział w tych przekładach ma sam redaktor „Kameny", Kazimierz Andrzej Jaworski, zasłużony tłumacz poetów słowiańskich. Ponadto znajdujemy tu świetne (bodaj że najlepsze z całego zeszytu) przekłady Józefa Czechowicza, dalej Seweryna Polaka, Jana Lechonia, L. Podhorskiego-Okołowa, Kazimierza Wierzyńskiego, Józefa Łobodowskiego, Jerzego Lieberta, Włodzimierza Słobodnika, Mieczysława Jastruna i Wacława Denhoff-Czarneckiego. Z ilości przytoczonych tu nazwisk widzimy, że **ta antologia poezji Błoka jest zarazem przeglądem dziejów jego sławy literackiej w Polsce i zainteresowań poetów polskich jego twórczością.**

Jeśli ubogo i nieciekawie wypadła w tym specjalnym zeszycie kronika, nie będziemy już mieć o to pretensji do redaktora, który w przygotowanie tego numeru, będącego hołdem poezji polskiej dla jednego z najwybitniejszych poetów rosyjskich XX wieku, włożył dużo własnej pracy twórczej i redakcyjnej. Natomiast z radością podkreślić należy fakt, że „Kamena" zapowiada od września ósmy rok istnienia, ogłasza prenumeratę (150 zł rocznie) i nie zamierza ustąpić z pola. Wszystkim miłośnikom poezji, ludziom, których stać na uznanie dla wytrwałej i pięknej pracy K. A. Jaworskiego i adeptom sztuki poetyckiej (a tych ostatnich jest u nas mnogo, mnogo) podaję adres wydawnictwa: Lublin, ul. Bronowicka 14, m. 4. Tam należy posyłać pieniądze. Wiersze należy kierować do redakcji w Chełmie Lubelskim, ul. Reformacka 43. Redaktor nie robi wprawdzie wyjątków i nie stosuje rozróżnień, ale przyzwoitość wymaga, żeby ci, co tam posyłają wiersze do druku lub do oceny, mogli się wykazać opłaceniem prenumeraty. Myślę, że sami tylko początkujący poeci mogliby „Kamenę" jako tako utrzymać.

Na zjeździe literatów w Łodzi dowiedziałem się, że **lubelski „Zdrój' podobno jeszcze nie wysechł.** Wprawdzie dotychczasowy mecenas zrezygnował z tego zaszczytnego tytułu, ale lubelski Oddział Zw. Zaw. Literatów zamierza poprowadzić pismo samodzielnie. Szczęść Boże! **Z Poznania natomiast przyszła wieść o zawieszeniu „Życia Literackiego".** Szkoda, choć przyznać trzeba, że kilka ostatnich numerów tego pisma nosiło zapowiedzi tego faktu. „Życie Literackie" szło ostatnio już prawem pewnego rozmachu i bezwładu. Dobór materiału był coraz mniej staranny i coraz bardziej przypadkowy. Okres pewnej świetności tego pisma w roku 1945 był już tylko pięknym wspomnieniem.

Prasa literacka nie zainteresowała się bliżej zapowiedzianym na 26 i 27 października do Łodzi zjazdem pisarzy. Zjazd ten poprzedziły tylko dwa artykuły, obydwa w „KUŹNICY", co jest zrozumiałe wobec ujawnionej na zjeździe ambicji tego zespołu odegrania czołowej roli w ruchu zawodowym literatów polskich. Zespół „Kuźnicy" widzi w łódzkim Oddziale Związku Zaw. Literatów najlepiej zorganizowany oddział w Polsce, a w głoszonej przez siebie ideologii jedyną prawdę, którą może wyznawać pisarz w odrodzonej Polsce.

Kazimierz Brandys, autor sielankowego opisu życia pisarza polskiego w „Gazecie Polskiej" (wychodzącej w Paryżu) w artykule „Do pisarzy" (Kuźnica nr 42) nawiązuje do zakończonej przed rokiem dyskusji o realizmie, która miała stworzyć ideowo-artystyczne wytyczne dla literatury odrodzonej Polski. „Jest naszą tezą — pisze Brandys — że nie ma w świecie zjawisk, których człowiek nie byłby w mocy poznać, i nie ma praw, które by mogły krępować jego sądy. Jest to zasada ambitna. Lecz tylko z tych założeń może rozwijać się postęp myśli ludzkiej." To hasło, które Brandys już przed rokiem przeszło formułował na łamach „Odrodzenia" w ogniu wspomnianej dyskusji, stanowi podstawową tezę marksizmu i napotyka na ostry opór grupy pisarzy katolickich. W tym wszystkim tkwi jedno wielkie nieporozumienie. Wyznawcom marksizmu wydaje się, że idealistyczny, katolicki światopogląd pisarza wyklucza realizm. Walczą z formalizmem, z psychologizmem, z indeferentyzmem, z apolitycznością, a myślą ciągle o pisarzach wyznających idealistyczny pogląd na świat, o pisarzach katolickich. Uważają ich twórczość za indywidualistyczną, za aspołeczną. Trudno o grubszą omyłkę i dlatego trudno jest o porozumienie. Pisze Brandys: „Pisarz spotyka wielką okazję: podźwignięcia piórem spraw większych niż on, spraw, których jest cząstką. Może trudniej opisać społeczeństwo niż własną duszę. Powieść o przygodach grupy jest zawsze tęższą próbą talentu niż narracja o swym wnętrzu." Wygląda z tego, że pisarze katoliccy zagłębiają się tylko w opisywaniu przebiegu procesów psychicznych i zapominają o otaczającym ich świecie. Sprawdźmy to przez porównanie rzucające się w oczy: „Murów Jerycha" i „Z kraju milczenia", a zobaczymy, jak wysoko w powietrzu wisi ta efektowna teza.

Stefan Żółkiewski w swym obszernym i dialektycznie bogatym przemówieniu na zjeździe łódzkim (Kuźnica nr 43) rozwija szerzej tezy Brandysa, polemizując ostro z twierdzeniem św. Augustyna: „Nie chodź na rynek, wejdź w siebie, we wnętrzu człowieka mieszka prawda". Dla niego prawda jest właśnie na rynku, w zbiorowości, a ta prawda, która tkwi w człowieku, jest tylko dalekim odbiciem tego, „co działo się na rynku wczoraj czy przedwczoraj", jest próbą obrony tego „wczoraj" przed zwycięskim „dziś". Dochodzi więc Żółkiewski do wniosku, że „marksizm, jako filozofia kultury na swoim terenie daje „prostą, jasną, sprawiedliwą wiedzę o sprawach i losach ludzkich. Naturalnym wydaje mi się — pisze dalej — postulat logiczny i moralny przeniesienia jej punktów widzenia i koncepcyj na teren literatury". **Przemówienie Żółkiewskiego jest śmiałą i radykalną próbą stworzenia pewnego programu ideowego, myślowego dla pisarza polskiego. Nie mniej jest próbą jednostronną, zapominającą zupełnie o tym, że twórczość pisarza jest przede wszystkim funkcją tych prawd, które mieszkają we wnętrzu człowieka, tzn. w nim samym, a sens społeczny jego twórczości wynika ze stosunku tych prawd wewnętrznych do prawd rządzących na rynku,** gdzie — jak powiedziała w polemice Maria Dąbrowska — często pisarz znajduje kłamstwo.

Dyskusja zjazdowa nie była zbyt bogata, choć miała mocne momenty, wydobyte przez Żółkiewskiego, Marię Dąbrowską i Jana Nepomucena Millera. Należy oczekiwać jej ciekawego odbicia w prasie najbliższych tygodni. Nie ulega wątpliwości, że nie doprowadzi to do jakiegoś pogodzenia stanowisk, do jakiejś symbiozy ideowej pomiędzy pisarzami, do jakiegoś kompromisu, którego zdrowym przejawem w sensie organizacyjnym jest skład nowego zarządu. I tak jest lepiej. Literatura na tym nie straci. Przeciwnie — zyska, będzie bogatsza i pełniejsza, będzie szerszym i głębszym obrazem naszych czasów. Tu nie da się wprowadzić metod rewolucyjnych. Drogą ewolucji opartej o rozwój wybitnych talentów pisarskich dojdzie dopiero ten czy inny światopogląd do wyraźnej supremacji. Jeśli marksistowska filozofia kultury ma się okazać ostatecznym zwycięzcą, lepiej dla niej i lepiej dla samej kultury, że ma tęgiego przeciwnika.

Na zakończenie jeszcze krótki rzut oka na Pomorze. Omawiana tutaj niedawno „ARKONA" jest najpiękniejszym pod względem graficznym po upadku „Życia Literackiego" (mam na myśli rok 1945 tego pisma) czasopismem literackim w Polsce. Czasem układ kolumn jest mało logiczny i przejrzysty, ale papier, czcionka i dobór materiału ilustracyjnego (świetne reprodukcje) stawiają to pismo na wysokim poziomie. Jest to niewątpliwie zasługa całego zespołu redakcyjnego, jego ofiarności i starań, ale jest w tym chyba i udział Mariana Turwida, literata i artysty-plastyka zarazem. W ostatnim, 12-tym numerze „Arkony" na 24-ch stronach bogatej i różnorodnej treści literackiej i historycznej, zwraca uwagę artykuł Eugeniusza Paukszty „Smutne pokolenie książki Wańkowicza". Autor pisze o skutkach, jakie przyniosła książka tego pisarza „Na tropach Smętka" dla ludzi, którzy stali się jej tematem i dostarczyli do niej materiału. Redakcja ma pewne obiekcje w stosunku do tez Paukszty, który stwierdza, że bezceremonialne zżytkowanie przez Wańkowicza zebranego materiału, rozpętało na Mazurach i Warmii fale represji antypolskich, których ofiarą padło wielu dzielnych i wypróbowanych Polaków. Obiekcje te nie są słuszne. Autor cyklu drukowanych w „Odrze" świetnych reportaży „Ziemia odnalezionych przeznaczeń", Stefan Sulima, po powrocie z dłuższego objazdu po Mazurach i Warmii potwierdził całkowicie ten fakt. Wańkowicz postąpił bez wątpienia lekkomyślnie i dlatego książka jego ma swój aspekt szkodliwy, którego potrafił uniknąć Hulka-Laskowski w książce o Zaolziu a Wasylewski w książce o Śląsku Opolskim.

W 116-tym numerze pisma „ZRZESZ KASZEBSKO" znalazł się ciekawy artykuł o filomatach pomorskich. Tą nazwą określa się grupę młodzieży, która przed 45-ciu laty zorganizowała sieć tajnych kół polskich w szkołach średnich Chełmna, Chojnic, Torunia, Brodnicy, Wejherowa i innych miast pomorskich. Kółka te powstały z organizacji macierzystej akademików pod nazwą „Czerwona Róża" i miały objąć cały zabór pruski. Celem ich była nauka historii polskiej i języka polskiego. Gdy władze szkolne wpadły na trop tej organizacji, śledztwo doprowadziło do ujawnienia jej 90-ciu uczestników, z których 60-ciu zasiadło w dniu 8. IX. 1901 na ławie oskarżonych przed Izbą Karną w Toruniu. Z tej liczby 35-ciu członków tajnej organizacji młodzieży pomorskiej zostało skazanych na więzienie. Wielu z nich zginęło w ostatniej wojnie w obozach koncentracyjnych. Pruska sprawiedliwość i zemsta dosięgła ich raz jeszcze po blisko czterdziestu latach. Proces toruński „Gończa i towarzyszy" to smutna ale piękna karta w dziejach patriotycznego Pomorza. Warto, by zajął się ktoś historycznym opracowaniem tego fragmentu walki polsko-niemieckiej. **(ki)**

Co robią Niemcy

Do niedawna ataki na granicę polsko-niemiecką nie były podejmowane przez SED, czyli niemiecką socjalistyczną partię jedności, kierowaną przez komunistę Wilhelma Piecka. Łatwo też demokratyczna prasa niemiecka tamte niepoczytalne wybryki kwalifikować mogła jako reakcyjne. Tymczasem w tej samej sprawie mocne słowa padły z ust samego Wilhelma Piecka. Co teraz będzie? Czy i jego wystąpienie jest reakcyjne? A oto wycinek z prasy niemieckiej (Berliner Zeitung, nr 243), cytujący jedno zdanie z przemówienia Piecka, wygłoszonego w Szczyglicach:

Pieck über die Ostgrenzen

Berlin, 16 Oktober (ADN). „Wir werden alles tun, damit bei den Alliierten die Grenzfragen nachgeprüft und eine ernste Korrektur an der jetzt bestehenden Verwaltung der Ostgrenze vorgenommen wird. Voraussetzung für den Erfolg dieser Bemühungen ist die Einheit Deutschlands", erklärte Wilhelm Pieck in Steglitz.

Po polsku brzmi to tak: **„Uczynimy wszystko, by problemy graniczne zostały raz jeszcze przez aliantów zbadane oraz by nastąpiła poważna korektura istniejącej w tej chwili administracji na granicy wschodniej. Podstawą, gwarantującą sukces owych poczynań, jest jedność Niemiec."** A więc również i celem komunistów niemieckich jest obalenie obecnych słupów granicznych a osiągnąć to pragną przez zjednoczenie Niemiec. Jakie to mądre i nowe, zupełnie jak by tak samo nie zaczynał Hitler. Oświadczenie Wilhelma Piecka weźmiemy sobie głęboko do serca, wiemy już teraz, co należy sądzić o wszystkich partiach niemieckich. Na wieczną zaś sprawy pamiątkę odpowiednie miejsce z gazety sfotografowaliśmy i umieściliśmy powyżej.

Tymczasem **całe Niemcy wciąż jeszcze są jednym wielkim zbiorowiskiem zbrodniarzy, a poświadcza to także Dyspozycja nr 38, ustalona na 83 zwyczajnym posiedzeniu Komitetu Koordynacyjnego,** złożonego z przedstawicieli państw zwycięskich, w Berlinie. Ustalono tam pięć kategorii zbrodniarzy wojennych, pierwszą tworzą tzw. **główni przestępcy,** drugą tzw. **przestępcy,** trzecią tzw. **drugorzędni przestępcy,** czwartą tzw. **współdziałający,** wreszcie piątą **osoby zrehabilitowane.** Jak się zaraz okaże **podział ten obejmuje właściwie wszystkich Niemców z wyjątkiem jakichś niewielu tysięcy prawdziwych i ofiarnych przeciwników reżimu.** Do grupy przestępców głównych należą ci wszyscy, którzy mają na sumieniu zbrodnie względem przeciwników narodowego socjalizmu, którzy odgrywali ważną rolę w organizacjach hitlerowskich lub dopuszczali się wykroczeń przeciwko człowieczeństwu. Grupa tzw. przestępców dzieli się na rodzaje (zupełnie jak w zoologii), a więc: **aktywistów, militarystów i tzw. wyciągających korzyści** (Nutzniesser). Do aktywistów zalicza się m. in. tych wszystkich, którzy po 8 maja 1945 chwalili lub chwalą narodowy socjalizm lub też puszczają w obieg nieprawdziwe pogłoski. Militaryści — to kierownicy w organizacjach wojskowych lub półwojskowych, głosiciele ucisku obcych narodów, wywłaszczenia lub wysiedleń. „Wyciągający korzyści" to ci wszyscy, co to z tytułu swej politycznej pozycji, stosunków, wyciągali dla siebie lub innych osobiste lub materialne korzyści. **Grupa tzw. drugorzędnych przestępców obejmuje m. in. wszystkich byłych żołnierzy Wehrmachtu.** Współdziałający — to wszyscy nominalni jedynie członkowie lub statyści narodowo-socjalistycznej tyranii. Ostatnia grupa wreszcie jednoczy Niemców, którzy pomimo nominalnego udziału w organizacjach i akcji hitlerowskiej byli zawsze w opozycji i jako tacy zostali już zrehabilitowani. Dyspozycja nr 38 przewiduje w zależności od przestępstwa rozmaite kary, które raz na zawsze zażegnać mają niebezpieczeństwo hitlerowskie. Tak to, jak widzimy, cały prawie naród niemiecki podzielony został na liczne rodziny zbrodniarzy. Jakież tedy prawo ma Wilhelm Pieck zdobywania polskich ziem, jeśli czyni to w imię jedności społeczeństwa zbrodniczego?

W tych dniach prasę niemiecką obiegł świetny rysunek. Przy stole, na którym widać olbrzymich rozmiarów szynkę, siedzą rodzice i mały Hans. Hans zadaje ojcu takie pytanie:

— Czy to prawda, papa, że tam, gdzie słonina, jest nasza ojczyzna?

Tak, to prawda. Wykazały to najlepiej wybory w Szlezwiku. I na marginesie tych wyborów powstał także ów rysunek. **W wyborach w Szlezwiku pełne zwycięstwo odniosła autonomiczna partia duńska,** która domaga się zresztą przyłączenia tego okręgu do Danii. Prasa niemiecka przypomina, że mniejszość niemiecka w Szlezwiku wynosi zaledwie 7 procent, tymczasem z ostatnich wyborów Szlezwik wyszedł jako kraj czysto duński i np. w radzie miejskiej Flensburga nie będzie odtąd zasiadał ani jeden Niemiec. **Sytuacja wyjaśni się wnet, jeśli przypomnimy, że członkom narodowości duńskiej w Szlezwiku Dania posyła regularnie obfite dary żywnościowe i odzieżowe.** Na całe szczęście prasa duńska krytycznie oceniła wynik wyborów w Szlezwiku i ostrzega społeczeństwo duńskie przed niebezpieczeństwem koniunkturalnych Duńczyków. Prasa niemiecka w związku z tym podaje łagodnie, że przecież nie chodzi o to, by przesuwać granice, lecz by je przezwyciężać psychicznie.

Gorączka przedwyborcza, która niedawno ogarnęła Niemcy, **zapoznała m. in. cały świat z czołowymi kandydatami partyj niemieckich.** W Berlinie wysunano następujących: SED. jako pierwszą kobietę Elly Schmidt, krawczynię, która w 1937 r. udała się na emigrację i jako pierwszego mężczyznę Maxa Wechnera. CDU Jakuba Kaisera oraz Hildę Koerber, aktorkę, czynną politycznie dopiero od 1945 r. Socjaldemokraci — Luize Schroeder i Franza Neumanna. Wreszcie liberalni demokraci — Norę Melle i Wilhelma Kuelza. Większość to nazwiska nieznane i w polityce nie mające zapisanych kart.

Z kół politycznych SED wyszła broszura, przeznaczona dla młodzieży, pt. „Twórcza praca jest bohaterstwem". „Młodzież potrzebuje bohaterskich mitów — czytamy w broszurze — bez bohaterstwa młodzież niemiecka nie może sobie wyobrazić życia. Taki mit musimy jej stworzyć; skoro nie można jej włożyć w rękę karabinu, dajmy jej łopatę. I ten mit jest wielki, a w chwili dzisiejszej o ileż potrzebniejszy i cenniejszy. Niech będzie bohaterką pracy, jak bywała bohaterką w polu." W tym duchu napisana jest cała książeczka. Słychać w niej naprzemian pobrzękiwanie to szabelką, to łopatą. Oba te dźwięki jednoczą się wreszcie, by w mętnym finale głosić chwałę odradzających się pięknych Niemiec. Oto rozdział historii współczesnej: Myśl niemiecka na bezdrożach.

W życiu kulturalnym Niemiec nastąpiło doniosłe wydarzenie. Zanim ukazał się na ekranach polskich pierwszy długometrażowy powojenny film polski, **nastąpiła w Berlinie prapremiera pierwszego niemieckiego filmu powojennego, nakręconego i zmontowanego w ciągu kilku zaledwie miesięcy. Film nosi tytuł: „Mordercy są między nami".** Film ma założenia epickie i szczególne napięcie wnosi nie sama akcja, lecz konflikty dusz i charakterów. Krytyka niemiecka określiła go nawet jako „drogę przez krajobrazy duszy". Film jest współczesny, ma akcenty polityczne, ale w odróżnieniu od niemieckich filmów wojennych, nie dopowiada ich do końca. Toteż tu i ówdzie gmą one w psychologizowaniu. Prasa niemiecka podaje, że film ten wkrótce pokazany będzie także w Polsce. Co prawda, nic nie wiemy o tym, by Film Polski zamierzał w tej sprawie z DEFA pertraktować.

Na koniec zaglądnijmy do dalekiej Kolonii, w której jak zawsze największą sensacją jest słynna katedra. Bo katedra ocalała, aczkolwiek cała prawie Kolonia ze swoim architektonicznym bogactwem legła w gruzach. Ostały się wieże, portale, wysoki dach ponad nawami. Zwiedzanie katedry połączone jest jeszcze z niebezpieczeństwem. 14 bomb trafiło katedrę, 19 granatów i szrapneli przegryzło mury. Gdyby sądzić po ilości gruzu, który zalegał katedrę, można by ją uznać za najbardziej zniszczony kościół Kolonii. Żadna bomba nie rozerwała jednak murów, wszystkie eksplodowały na zewnątrz.

Prace restauracyjne idą wolno naprzód, bo koszta odbudowy katedry są niezwykłe. Przy odbudowie katedry pracuje zaledwie 40 robotników, bo tylko tylu mógł przekazać Arbeitsamt. Jednakowóż już są widoczne pewne rezultaty. Również i na mieście widać niezwykły ruch budowlany.

Kolonia się odbudowuje, a robotnicy po pracy znów jak za dawnych czasów wstępują na piwo. Mętne bo mętne, ale Niemcom i woda sodowa umie uderzać do głowy. **wisz.**

Helmut Bibow jest autorem tego rysunku, przedstawiającego wojnę. Wojna to umitologizowana, przedstawiona w postaci smoka. Rysunek ten jest jednym z najtypowszych okazów niemieckiego malarstwa powojennego. Coraz bliższa jest mu wojna, ale na razie wciąż jeszcze jako motyw bajki, zdarzenia nierzeczywistego. Pojęcie wojny jako tragedii ludzkości jest tym artystom niemieckim jeszcze obce.

„Tygodnik Gospodarczy" ukazuje się w Poznaniu, Administracja Księgarnia Wilak, Poznań, Kantaka 10. Prenumerata zł 100,— kwartalnie. „Tygodnik" omawia źródłowo zagadnienia z dziedziny gospodarczej. Specjalnie zwracamy uwagę na wprowadzony dział „Poradnik Księgowego". Numer bieżący (42) zawiera następującą treść:

Postulaty prywatnego przemysłu. (Na marginesie II Zjazdu Przemysłowego Ziem Odzyskanych.) — Badanie przyczyny zwyżki cen. — Marnotrawstwo dorobku społecznego. — Podwyższenie grzywien za przestępstwa podatkowe. — Poradnik księgowego (Wartość kapitału własnego przedsiębiorstwa). — Stanowisko prawne rzemiosł uznanych przez okupanta. — Jednorazowy dar na odbudowę Warszawy i Poznania. — Potrącalność świadczeń na rzecz odbudowy Warszawy. — Zorganizowanie kupców branży tytoniowej. — Rynek butelek. — Tymczasowy podział administracyjny Ziem Odzyskanych. — III Posiedzenie Rady Gospodarczej Z. Ł. — Projekt nowej ordynacji wyborczej do Izb Rzemieślniczych. — Handel zagraniczny. — Z wydawnictw Narodowego Instytutu Postępu (prof. dr Florian Barciński. Podstawowe zasady ekonomiki i Międzynarodowe Prawidła Wykładni Formuł Handlowych w tłumaczeniu p. dr Waschko).

Na jesień

przefarbuj swoje materiały jedynie barwnikiem

„ORION"

który otrzymasz we wszystkich drogeriach i składach farb.

SKŁADNICA FABRYCZNA

Katowice, ul. Starowiejska nr 3

Telefon nr 354-64 90

Redaguje komitet. Redaktor naczelny: **Wilhelm Szewczyk.** Adres redakcji: Katowice, 3 Maja 36a (II p.), tel. 325-58. Adres administracji: ul. 3 Maja 12. — Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik'," ul. 3. Maja 12. Prenumerata miesięczna 40 zł kwart. 120 zł. Konto czekowe PKO. — III 4960. Druk: Drukarnia nr 9, Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik", Katowice, 3 Maja 12. Wydawca: Sp. Wydaw. „Czytelnik"

R 23118